25 LAT POLSKI LUDOWEJ

odgłosu

29 (522)
20. VII. 1969 r.
Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XII

Fot. A. Wach

RYSZARD BINKOWSKI

KWIATY i KREW

MANIFEST

Blisko był front. O 25 km od Chełma. Ten front się walił. Bo oni, ci z gwiazdą, z piastowskim orłem na czapkach, stali nad Bugiem. I żelazo darło piękne niebo lipcowe.

20 lipca zapanowała cisza. Noc była pełna woni nagrzanej ziemi, zbóż, letniego kwiecia. Noc oczekiwania, niepewności, może modlitwy. Ludzie siedzieli w schronach, w ogródkach miejskich. Jeszcze nikt nie wiedział, że będzie to noc wolności.

Czuwał profesor Janczykowski. On, stary szperacz, miłośnik historii, rozkochany w swym mieście. Krążył lipową aleją. Jakże mógł przepuścić okazję poznania wydarzeń, które będą historią. Lekki oddech wiatru niósł od Bugu zapach dymu, prochu. Stary nauczyciel gimnazjum Czernieckiego, miał już w uszach szmer dalekiego szlaku frontowego.

Ludzie wychodzili z kryjówek. Wschodziło słońce. Spopielała zorza wykwitła nad miastem. Był już piątek 21 lipca, godzina trzecia. Na ulicy Kopernika ukazała się trójka rosyjskich zwiadowców. Powitanie było krótkie, serdeczne. Rady, wskazówki. O 3.30 całe miasto wiedziało, że Rosjanie są na ulicach.

Zawrzało około 6. Ludność na ulicach. Kwiaty, pocałunki, łzy. Przez całe godziny. Między 8 a 10 szły pierwsze grupki kościuszkowców. Między 14 a 15 nadciągały już duże oddziały polskie. Czołgi, samochody, armaty. Psy ciągnęły jakieś małe działko. Dzieci chełmskie całowały te psy w trójkątne łby. Podkarmiały je biednym, okupacyjnym chlebem.

Dalszy ciąg na str. 3

JÓZEF SPYCHALSKI

I sekretarz Komitetu Łódzkiego PZPR

Na spotkanie jutra

Droga rozwojowa, którą przebyła Łódź w minionym 25-leciu, jest typowa wskutek tych wszystkich przemian społecznych, gospodarczych i kulturalnych, które nastąpiły w wyniku zwycięstwa socjalizmu w naszym kraju. Są jednak powody, by doświadczenia Łodzi traktować jako specyficzne, a to w tym sensie, że na wspólnej dla całego kraju drodze rozwojowej ma to miasto wiele wyróżników, trudnych do znalezienia w innych ośrodkach wielkomiejskich.

Wszystkim przybyszom, którzy w roku 1945 znaleźli tu po wojnie pierwszy dach nad głową, wydawało się, że to miasto wyszło z nocy okupacji bez uszczerbku. To prawda, że „przejściowa stolica", którą Łódź była w owym czasie, nie straszyła ruinami i zgliszczami. A jednak miasto było zdewastowane, a jednak start miało wyjątkowo trudny. Unieruchomiony przemysł, wyniszczenie biologiczne ludności polskiej — to spadek po okupancie. Ale był jeszcze inny spadek, ten pozostawiony przez kapitalistycznych władców. Wystarczy przypomnieć, że po nich robotnicze miasto odziedziczyło w całości zasobów mieszkaniowych 63 proc. mieszkań jednoizbowych, że z urządzeń komunalnych, takich jak wodociąg, mogło korzystać w roku 1945 zaledwie 4 proc. ludności, z kanalizacji — 33,4 proc., z gazu — 15 proc.

Baza materialna łódzkiej kultury była właściwie równa zeru. Nie było wyższych uczelni, sal teatralnych z prawdziwego zdarzenia, sieci bibliotecznej, własnych środowisk twórczych, kadr inteligencji.

Dlatego też rozwojowi Łodzi w ciągu 25 lat władzy ludowej towarzyszyło stale zjawisko narastania coraz to nowych potrzeb. Odrabianie zaniedbań i wydobywanie miasta z zacofania kapitalistycznej gospodarki i okupacyjnej dewastacji przynosiło w efekcie poprawę warunków życia mieszkańców, ale jednocześnie zachodzące zmiany rodziły nadzieje, wskazywały kierunki rozwoju, wzmagały niecierpliwość mieszkańców, mnożyły postulaty. Łodzianin stał się gospodarzem swego miasta, i jak gospodarz chciał je jak najszybciej i jak najlepiej urządzić.

NOWE OBLICZE MIASTA

Trzeba pamiętać, że po wojnie Łódź wchłonęła 300 tysięcy nowych obywateli, pochodzących w większości ze wsi i okolicznych miasteczek, choć niemało też napłynęło rodaków zza Bugu. Łódź tamtego okresu można bez obawy o przesadę określić jako swoisty tygiel, w którym warzyły się różne nawyki i obyczaje, zainteresowania i dążenia. Z drugiej jednak strony trzeba jako prawdziwy fenomen określić fakt niezmiernie szybkiej asymilacji tej ogromnej rzeszy napływowej, przekształcenie jej w jednorodne, robotnicze, wielkomiejskie środowisko.

Przybysza wychowywało środowisko robotnicze w pracy, jego dzieci — socjalistyczna szkoła, jego rodzinę — robociarscy sąsiedzi w miejscu zamieszkania. Nowe osiedla mieszkaniowe w Łodzi stawały się szkołą obywatelskiego wychowania, ludowej samorządności. To przecież w Łodzi zrodziły się formy działalności społecznej na rzecz osiedla. To tutaj zrodziła się idea terenowych grup partyjnych, tutaj znalazły oparcie w swej pracy terenowe komitety Frontu Jedności Narodu, tutaj rozwinął się szeroki front wychowania dzieci i młodzieży.

Zanim te procesy, o których wspomniałem, zdołały się wykrystalizować, zanim je sobie sami uświadomiliśmy — trwała trudna, żmudna batalia o rozwój i unowocześnienie przemysłu, o powołanie do życia i umocnienie wyższych uczelni w Łodzi, o poprawę zdrowotności i warunków życia, o budownictwo mieszkaniowe, o budownictwo komunalne.

Ta właśnie praca stała się podstawą zmiany oblicza Łodzi — w przekonaniu mieszkańców innych regionów kraju — miasta ruder i setek dymiących kominów, miasta bez zie

Dalszy ciąg na str. 2

ŚWIATA

O Włoszech nie pisaliśmy na tym miejscu już dawno. Ważne wydarzenia polityczne kierowały naszą uwagę w inne strony świata. Ale obecny kryzys rządowy, będący bez przesady najpoważniejszym w całym okresie powojennym we Włoszech, wymaga naświetlenia tła. Każe także zastanowić się nad polityczną perspektywą tego kraju.

Gabinet premiera Rumora, którego upadek spowodował kryzys, pozostawał u władzy przez ponad pół roku. Miał on charakter koalicyjny. W jego skład wchodziły trzy partie: Chrześcijańsko-Demokratyczna, Republikańska i Socjalistyczna. Z powodu udziału w rządzie tej ostatniej — nosił on nazwę „centrolewicowego". W obecnej sytuacji wewnętrznej Włoch była to jedyna koalicja zdolna do zapewnienia władzy partiom burżuazyjnego centrum.

Jednak, czego zresztą oczekiwano, Partia Socjalistyczna rozpadła się. Mimo rozpaczliwych wysiłków, czynionych przez Pietro Nenniego, aawi członkowie partii socjaldemokratycznej zdecydowali się na rozłam. Przygotowali oni antykomunistyczny program, domagając się jego przyjęcia przez całą partię. Kiedy to nie nastąpiło, ponieważ centrum partii i jej lewica opowiadały się doraźnie za współpracą z komunistami, utworzyli nową partię — Socjalistyczną Partię Jedności (PSU). Tak więc we Włoszech będą teraz trzy partie socjalistyczne (oprócz Włoskiej Partii Socjalistycznej i powstałej z rozłamu Socjalistycznej Partii Jedności działa również Włoska Partia Socjalistyczna Jedności Proletariackiej). Żadna jednak nie jest w stanie odgrywać samodzielnie poważniejszej roli politycznej.

Rozłam pociągnął za sobą dymisję Nenniego ze stanowiska ministra spraw zagranicznych i trzech ministrów ze skrzydła socjaldemokratycznego. Rząd upadł, a 78-letni Pietro Nenni oświadczył, że w ogóle wycofuje się z czynnej działalności publicznej.

Wszystko to jest czymś więcej niż tylko kryzysem rządowym. Jest — można się tego spodziewać — zachwianiem koncepcji centrolewicy. Co więcej — bez udziału Włoskiej Partii Komunistycznej — dotychczasowej koalicji nie może zastąpić żaden inny sojusz partii i ugrupowań politycznych. I dlatego właśnie powiedzieliśmy na początku, że jest to najpoważniejszy kryzys we Włoszech po zakończeniu II wojny światowej.

W chwili, kiedy przygotowuję komentarz, prezydent Saragat bada możliwości utworzenia nowego rządu. Gdy ich nie znajdzie — najprawdopodobniej rozwiąże parlament i ogłosi nowe wybory. Nie jest nimi zainteresowana żadna z głównych partii politycznych. Jedynie skrajna prawica wiąże z takim rozwiązaniem pewne nadzieje.

Ostatnie wydarzenia we Włoszech będą miały z pewnością poważne następstwa. I w polityce zewnętrznej i wewnętrznej. Zwłaszcza ucierpi na tym włoska gospodarka. Już obserwuje się znaczny odpływ kapitału z Włoch oraz duże zmniejszenie ruchu turystycznego.

Do tematu przyjdzie nam powrócić, a teraz zajmijmy się sytuacją na granicy radziecko-chińskiej.

Jak Czytelnikom wiadomo z doniesień agencyjnych — po długiej wymianie not udało się wznowić obrady radziecko-chińskiej komisji do spraw żeglugi. Komisja ta, zbierająca się w Chabarowsku, ma na celu doprowadzenie do wspólnych postanowień w sprawie zapewnienia bezpiecznej żeglugi na rzece Amur i innych rzekach. Przemawiając na sesji Rady Najwyższej ZSRR min. A. Gromyko pozytywnie ocenił sam fakt zebrania się konferencji i przebieg rozmów.

Ale właśnie wówczas, gdy trwa konferencja, maoiści sprowokowali nowy incydent na Amurze, ostrzeliwując pracowników radzieckiej służby rzecznej. Radzieckie Ministerstwo Spraw Zagranicznych ostro zaprotestowało przeciwko tej zbrojnej napaści, w rezultacie której znów są ofiary w ludziach. W nocie ZSRR czytamy:

> *„Zbrojna napaść na radziecką służbę rzeczną zorganizowana przez władze chińskie w dniu 8 lipca br. stanowi wrogą akcję i jest kontynuacją prowokacyjnych poczynań strony chińskiej na granicy między ZSRR a ChRL. Odpowiedzialność za nie spada całkowicie na rząd chiński".*

Zgłaszanie roszczeń terytorialnych, co — jak podkreśliła Narada Moskiewska — nie może mieć miejsca między krajami socjalistycznymi, jest elementem antyradzieckiej polityki Mao Tse-tunga i Lin Piao. Kierownictwo KPCh i ChRL odwołuje się do tej broni nieprzerwanie. Jak widać — nawet wtedy, kiedy dzięki dobrej woli ZSRR udało się doprowadzić do wznowienia rozmów w sprawie żeglugi na granicznych rzekach. Nie rokuje to, niestety, perspektyw na pomyślne rozwiązanie sytuacji konfliktowej, spowodowanej antyradzieckim działaniem maoistów.

W. SŁAWSKI

JÓZEF SPYCHALSKI

I sekretarz Komitetu Łódzkiego PZPR

Na spotkanie jutra

Dalszy ciąg ze str. 1

leni. Wybudowaliśmy w okresie 25-lecia około 1400 km sieci wodociągowej, kanalizacyjnej, gazowej i cieplnej, przebudowaliśmy około 300 km ulic i przedłużyliśmy o 100 km linie tramwajowe. Wzniesiono w Łodzi 203 szkoły i przedszkola. Utworzono wyższe uczelnie, wybudowano nowe teatry. A chyba największym sukcesem jest wybudowanie w tym czasie 230 tysięcy nowych izb mieszkalnych!

Łatwo to dzisiaj powiedzieć, łatwo rzucać liczbami, ale chyba tylko łodzianin pamiętający przedwojenne miasto potrafi zrozumieć, ile trudu i wysiłku kosztowało, że dzisiaj już 42 proc. mieszkańców Łodzi, a w tym około 30 proc. włókniarzy mieszka w nowych blokach.

Odrabianie zaniedbań i wyrównywanie dysproporcji rodziło także i w dziedzinie zaspokajania potrzeb mieszkaniowych coraz to nowe wymagania. Oto, na przykład, byłem niedawno na spotkaniu z mieszkańcami nowego osiedla mieszkaniowego na Koziach. I rzecz charakterystyczna: o ile dla zasiedziałych mieszkańców starych posesji, które się tam jeszcze znajdują między nowymi domami, najważniejszym problemem była stara jak Łódź sprawa zaopatrzenia w wodę, o tyle dla lokatorów z nowych bloków najpilniejszą rzeczą była budowa domu kultury.

W podobny sposób dla tych wszystkich ludzi, którzy jeszcze mieszkają w starych domach, którzy jeszcze nie zawsze mają najlepsze warunki mieszkaniowe, przykład rodzin już mieszkających w nowym budownictwie — a jest ich przecież znaczna ilość i ona decyduje o skali zjawiska — jest pobudką do energicznego, często niecierpliwego domagania się nowych mieszkań. Jest to dodatkowa presja, pod którą żyją władze miejskie, i dlatego czynią wszystko, by sprostać temu narastającemu zapotrzebowaniu społecznemu: nasze plany przewidują znaczny wzrost budownictwa mieszkaniowego. Założony wstępnie na lata 1966—1970 plan wybudowania około 100 tys. izb zwiększony został do 112 tys., a kapitalnymi remontami objęliśmy 2300 budynków przeznaczając na ten cel około miliarda złotych. W przyszłej pięciolatce wybudujemy jeszcze więcej mieszkań. Powstaną nowe wielkie osiedla.

Koncepcja przeobrażenia Łodzi w miasto nowoczesne, prawdziwie socjalistyczne, ulegała stałej ewolucji i wzbogacaniu. W początkowym okresie trzeba było stworzyć podstawy, bazę materialną i ludzką do podjęcia tak odpowiedzialnego i dalekosiężnego zadania. Istotny jednak był tu cel, który sobie postawiła łódzka instancja partyjna w oparciu o dążenia podstawowej części ludności miasta, jaką jest klasa robotnicza. Tego celu nigdy nie gubiliśmy z oczu, zawsze pamiętaliśmy o aspiracjach łódzkiego robotnika, każdego człowieka pracy, o jego umiłowaniu miasta rodzinnego, wyrażającym się nie tylko w manifestacji uczuć, ale przede wszystkim w rzetelnej pracy zawodowej i w pełnej zapału i oddania pracy społecznej. Nie od rzeczy będzie tu wspomnieć, że w ostatnich czterech latach łodzianie zapisali na koncie czynów społecznych niebagatelną sumę 210 milionów złotych.

OŚRODEK AKADEMICKI

Jednym z podstawowych warunków rozwoju Łodzi było utworzenie ośrodka naukowego i akademickiego. Łódź dumna jest ze swoich wyższych uczelni, są one bowiem symbolem rewolucyjnych przemian, wzrostu prestiżu miasta i jednocześnie szansą jego dalszego rozwoju. Kto bowiem pamięta, że przed wojną w tym mieście liczącym ponad 600 tys. ludności istniały tylko cztery średnie miejskie szkoły ogólnokształcące z 1150 uczniami, że nie istniała tu ani jedna uczelnia wyższa — dlatego fakt powołania do życia siedmiu wyższych uczelni ma specjalną wymowę. Dodajmy do tego jeszcze przemysłowe instytuty naukowe, jak np. Instytut Włókiennictwa, Instytut Włókien Sztucznych czy centralne laboratoria różnych branż przemysłowych. Łódź musiała sobie wychować własną inteligencję, własnych specjalistów w różnych dziedzinach techniki, własnych humanistów, własnych ludzi sztuki, kadrę działaczy społecznych i politycznych, własnych nauczycieli i wychowawców.

Kiedy Łódź przestała być „drugą stolicą", kiedy do odbudowanej Warszawy przeniosły się centralne instytucje kulturalne, kiedy wyemigrowali wybitni ludzie nauki, literatury, sztuki — wielu głosiło pogląd, że została tutaj „pustynia kulturalna". Zżymamy się na to określenie, najczęściej bowiem pochodzi ono z ust ludzi, których droga życiowa z reguły biegła obok naszej, proletariackiej, i nigdy się z nią nie schodziła. Twierdzenie o „pustyni kulturalnej" było oczywistym fałszem, brakiem zrozumienia tego, co jest najistotniejszym, najżywotniejszym źródłem kulturalnej aktywności łódzkiego społeczeństwa: zapomniano o autentycznej kulturze i tradycjach środowisk robotniczych, nie zwracano uwagi właśnie na fakt, że dopiero co powstałe wyższe uczelnie wychowują młode pokolenia robotniczej inteligencji, która wtapia się w kulturalny pejzaż miasta, ożywia go nowymi, socjalistycznymi wartościami.

Nie doceniono także doświadczeń społecznych, żywych tradycji działalności związkowej włókniarzy, żeby wymienić dla przykładu to największe w Łodzi środowisko robotnicze. Nie doceniano także, często celowo, tych wszystkich procesów społecznych, które wiążą się z nieustannie rosnącą liczbą ludzi zatrudnionych w gospodarce narodowej. Dzisiaj jest to już potężna armia licząca ponad 400 tysięcy ludzi, przy czym w samym tylko przemyśle łódzkim pracuje około 140 tys. osób! Z tym potężnym procesem wzrostu aktywności zawodowej, muszą przecież iść w parze, a nawet żeń wypływać określone procesy społeczno-kulturalne, bo taką także jest przecież rola pracy, iż wychowuje człowieka, kształtuje jego zainteresowania i wzbogaca go wewnętrznie.

Jedną z ważnych społecznie i charakterystycznych cech łódzkiego środowiska robotniczego jest wielka liczba kobiet zatrudnionych w jednej gałęzi przemysłu. Zjawisko to wyjątkowe, mające ogromne znaczenie dla struktury życia rodzinnego i dla programu rozwoju miasta, wiąże się bowiem zasadniczo z kwestią właściwego planowania sieci usług i zaopatrzenia, systemu opieki nad dzieckiem, organizacji wolnego czasu.

Wszystko to wskazuje, jak wiele czynników trzeba było brać pod uwagę przy rozwiązywaniu występujących problemów społecznych, gospodarczych czy kulturalnych miasta, a także przy układaniu planów jego rozwoju.

PROGRAM GENERALNY

Jak już wspomniałem, 25-letnie dzieje przemian społecznych, gospodarczych i kulturalnych Łodzi łączyły w sobie dwa nurty: nieustannej pogoni za czasem utraconym, odrabiania zaniedbań okresu kapitalistycznego, wyrównywania poziomu w stosunku do mniej dotkniętych w tym względzie ośrodków i zaspokajania w naturalny sposób rodzących się nowych potrzeb społecznych, u których źródeł były już sukcesy socjalistycznego budownictwa.

Splot tych dwóch okoliczności w miarę upływu lat zmienia swój charakter. Doszliśmy do tego, że „dziedzictwo" okresu kapitalistycznego coraz bardziej staje się historią, bo dla coraz liczniejszej młodej generacji układem odniesienia do planów na przyszłość jest dzisiejsza już baza materialna i ludzka. Jest to naturalny bieg rzeczy i nie należy się dziwić, że młodzi, a zwłaszcza inteligencja, porównują dzisiejszy stan rozwoju poszczególnych ośrodków w kraju, nie oglądając się zbyt nio na różnice ich startu, a w jeszcze mniejszym stopniu na przyczyny, które tę nierówność spowodowały.

W tej sytuacji rzeczą oczywistą dla łódzkiej organizacji partyjnej i łódzkiego społeczeństwa stała się konieczność nakreślenia perspektyw rozwojowych miasta.

W ostatnich dwóch latach solidnie pracowaliśmy nad takim planem, a w procesie jego powstawania zaangażowane były szerokie rzesze aktywu gospodarczego i społecznego. Swoje zadania na przyszłość określały poszczególne zakłady pracy i branże przemysłowe, organizacje partyjne i społeczne, dzielnice i środowiska. Cały ten materiał posłużył jako punkt wyjścia do stworzenia planu ogólnego, do sprecyzowania generalnej koncepcji. Podana ona została znowu dyskusji możliwie szerokich kręgów społecznych. Po licznych analizach i uzupełnieniach, w wyniku trudu i zaangażowania w przyszłość miasta tysięcy ludzi — robotników, inteligencji technicznej, działaczy społecznych powstał pierwszy w dziejach Łodzi generalny plan przebudowy i rekonstrukcji przemysłu, ukształtowania urbanistycznego miasta.

W odniesieniu do przemysłu plan zakłada generalną modernizację i rekonstrukcję łódzkiego włókiennictwa. Trzeba tu dokonać ogromnej pracy, usunąć przestarzały park maszynowy, zrekonstruować budynki, zainstalować nowoczesne maszyny i urządzenia, wprowadzić nową technologię wytwarzania. Przebuduje się także strukturę całego przemysłu łódzkiego, rozwijając przemysł maszynowy, elektrotechniczny i chemiczny, nastawiając całą produkcję na nowoczesną technikę i technologię, na wysoką jakość.

Tak skonstruowany program wymaga oczywiście nie tylko wielkich nakładów pieniężnych — będzie to kosztowało miliardy — lecz także odpowiedniego przygotowania ludzi.

W parze z przebudową i modernizacją łódzkiego przemysłu, z głębokimi zmianami strukturalnymi w gospodarce miasta, z nowymi warunkami, które te przemiany stworzą w życiu jego mieszkańców, przyjdzie generalne uporządkowanie urbanistyczne Łodzi. Powstanie nowe śródmieście z nowoczesnymi arteriami komunikacyjnymi, nowe wielkie osiedla mieszkaniowe, centra handlowe i usługowe, obiekty użyteczności publicznej.

Musimy jeszcze wiele zrobić, by sens przemian, które planujemy, dotarł do najszerszych kręgów społeczeństwa. Plany przebudowy miasta wzbudzają wśród mieszkańców ogromne zainteresowanie i trzeba uznać za słuszne te głosy, które postulują, by to, co projektują nasi architekci i urbaniści, było poddawane pod publiczną dyskusję, było wcześniej pokazywane na różnego rodzaju wystawach. Ludzie chcą i muszą wiedzieć, jak będą wyglądały nowe osiedla mieszkaniowe, jak będzie wyglądało nowe centrum miasta, jak się będzie rozwijała komunikacja. Chcą również wiedzieć, jakie warunki pracy znajdą w nowych czy modernizowanych zakładach przemysłowych. Chcą to wszystko wiedzieć nie tylko z prostej ciekawości i z troski o własne sprawy, ale także z myślą o sprawach szerszych, o przyszłym kształcie miasta, które kochają i chcą własnymi rękami dalej budować.

W tym wybieganiu w przyszłość, w tej konsolidacji społeczeństwa wokół programu, konkretnego i bliskiego, nakreślonego wspólnie przez łódzką organizację partyjną i szerokie rzesze społeczeństwa, zawiera się sens socjalistycznych przemian w naszym kraju, których częścią jest to wszystko, co się w Łodzi w ciągu ćwierćwiecza Polski Ludowej dokonało i co się w przyszłości jeszcze dokonywać będzie.

To wszystko, co w Łodzi robimy i robić będziemy, mierzymy oczywiście nie tylko skalą naszych spraw lokalnych. Pragniemy bowiem dzięki unowocześnieniu przemysłu, dzięki podniesieniu kwalifikacji załóg robotniczych, unowocześnieniu technologii produkcji zwiększyć swój udział w wytwarzaniu dóbr narodowych, jak najszybciej zamortyzować nakłady poczynione przez państwo. Klasa robotnicza Łodzi dumna ze swoich rewolucyjnych tradycji i swojego wkładu w rozwój gospodarczy i kulturalny Polski socjalistycznej w dalszym ciągu będzie współuczestniczyć w wielkim dziele budownictwa socjalistycznego z pełnym zaangażowaniem serc i umysłów. Nowe, lepsze warunki pracy i życia będą jej w tym pomagały.

(Fragmenty artykułu zamieszczonego w czerwcowym numerze „Życia Partii").

KWIATY i KREW

Dalszy ciąg ze str. 1

Wojska szły. Nie zatrzymywały się. Gnały Niemców na Krasnystaw, gdzie ci umacniali się gorączkowo na Wieprzu. A ludzie trwali w radosnym powitaniu na ulicach. I nikt nie bał się tego szumu, co przyszedł niebem od wschodu. Czternaście samolotów okrążyło miasto. 11 myśliwców, w tym 2 z biało-czerwonymi szachownicami i trzy transportowe. Wylądowały na wzniesieniu, które do lądowania przygotowali żołnierze polscy jeszcze we wrześniu 1939. Wyskoczył radziecki pułkownik. Potem polski podporucznik. Ucałował ziemię. On, Jerzy Czownicki, który pierwszy z polskich lotników dotknął stopami wolnej, ojczystej ziemi.

Z transportowców wysiadali członkowie PKWN. Wszystkich było 20. Przyleciało chyba 10 osób. Zabrakło m. in. pięciu z terenów okupowanych: Zawadzkiego, Bieruta, Jaroszewicza, Jóźwiaka i Spychalskiego. Pojechali samochodami do gmachu PKP, gdzie były siedziby urzędów niemieckich. Zamieszkali na II piętrze. Ciężarówki wiozły dokumenty i urządzenia.

Gotowy był, opracowany przez ZPP w Moskwie tekst „Manifestu", Autor, Bolesław Drobner, dokonywał korekty. Przepisywał zdania aktualizujące zastaną sytuację. Słowo „orędzie" zastąpiono słowem „manifest". Wanda Wasilewska dokonywała szlifu literackiego.

Natychmiast nawiązano kontakt z drukarnią chełmską na Lubelskiej. To stara drukarnia, założona w latach dwudziestych. Kazimierz Czernicki wydawał tu „Zwierciadło". W 1941 r. Czernickiego i jego dwóch synów rozstrzelano. Drukarnię zamknięto.

Jacek Zajączkowski zapewne nie wiedział, iż nie wypije tych oczekiwanych kielichów samogonu z polskimi żołnierzami. A tak tego pragnął... Porwali go kurierzy PKWN, kapitan Harny i st. sierżant Miński. Tadeusza Maruszewskiego też. To byli dwaj drukarze. Zajączkowski żyje do dziś.

Jest noc. Brak energii elektrycznej. Zajączkowski wychodzi na ulicę. Wzywa ludzi. Mówi, że musi powstać ważny dla Polski dokument. Mężczyźni ustawiają się w długiej kolejce. Podchodzą do korby. Siłą swych mięśni poruszają tę wielką, ciężką maszynę. Linotypu nie było. Tak przez noc z 21 na 22 lipca drukuje się „Manifest".

I Chełm już jest stolicą Ludowej Polski. Niegdyś był stolicą Ziemi Chełmskiej. Z sądami, sejmikami, kancelarią grodzką. Miasto z herbem białego niedźwiedzia między dwoma zielonymi drzewami. Stąd płynie głos wolnej Polski. 20.550 mieszkańców, których okupant nie zdołał zniszczyć. Ci ludzie pierwsi w historii Polski przejmują w swe ręce 16 pozostałych zakładów przemysłowych.

— Lublin twierdził, że jest pierwszą stolicą. Przeto pojechałem tam. Pokazałem stary egzemplarz „Manifestu". Z datą, miejscowością u dołu — mówi Janczykowski. Tak powstał ten „Manifest". Ale jego historia nie kończy się. W 1968 r. oświato wiec z MO w Chełmie Bronisław Nawrocki, podczas opróżniania wielkiej szafy ze starych dokumentów, znajduje jakieś zawiniątko. Jest to oryginał „Manifestu". Przesyła go badaczowi historii Chełma, Janczykowskiemu. Ten stwierdza ze zdumieniem, że egzemplarz różni się od posiadanego przez niego. Treść ta sama, ale tytuł nieco zmieniony. Jacek Zajączkowski krzyczy: — Coś pan, panie! To nie mój druk! Takiej czcionki nie miałem. No, i mój „chełmski" ma dwie szpalty złamane, a tu trzy!

Pan Janczykowski wnioskuje: Brakowało papieru. Przez tę noc Zajączkowski zrobił 400 egzemplarzy. To tylko starczy na miasto. A tereny wyzwolone? Wieś? Drobner musiał zrobić to pismo do Moskwy. Poleciał Harny. Już w poniedziałek przywiózł 2 tys. egzemplarzy. I poszły do każdej gminy.

22—23 lipca 1944. Ludność gromadzi się na wiecach. Na wprost wysadzonego w powietrze dworca kolejowego. Pod „Gmachem" PKP Andrzej Witos czyta „Manifest". Grają orkiestry. Defilada. Prowadzą Zygmunt Berling i Wanda Wasilewska. Oboje na koniach. Ludzie wypychają na skraj Lubelskiej małą, czarnobrewą dziewczynkę. To Basia Bodakowska. Dziś aktorka. Wręcza kwiaty gen. Berlingowi.

Kościuszkowcy przeszli obok cerkwi. Jedna kompania staje przy gmachu sądu. Któryś z żołnierzy trzyma drzewce owinięte w coś czerwonego. Zaciekawia to Janczykowskiego. Podchodzi. — Odwińcie — prosi. I widzi ten proporczyk. Biedny. Z czerwonej poszewki od poduszki. Wyszyty białą nicią. Ręką kobiety polskiej, może niezdarną ręką żołnierza. Piastowski orzeł, napis: „Niech żyje Polska Ludowa" A na odwrocie „ZMPP" (Związek Młodych Patriotów Polskich) W otoku: „Rejon Świerdłowski".

Powstaje Tymczasowa Chełmska Rada Miejska. Prezydentem zostaje Stanisław Gutt. A 30 lipca znów wielki wiec. Organizuje się zbiórkę pieniężną na sztandar. Ten sztandar będzie towarzyszył sformowanemu w Chełmie pułkowi, który ruszy na Berlin. Kończy się tydzień. Przez ten tydzień Chełm był stolicą. PKWN przenosi się do Lublina. Jest 30 lipca 1944 r.

SZTANDAR NAD MIASTEM

Stoję na ruchliwym placu Łokietka w Lublinie. Jest dużo słońca. Wieża Bramy Krakowskiej. Pędzą samochody, trolejbusy. Płynie barwny ludzki potok.

Wtedy też było słońce. I ten gorący lipiec. Kto go pamięta, kto przeżył? Wciąż gubię trop. Powymierali pierwsi komendanci milicji. Powykruszali się starzy działacze, emigrowali, odeszli w zapomnienie.

A przecież w końcu trafiam na właściwy ślad. Znajduję takiego człowieka. Ale to jeszcze nie ten, którego szukam. Dyrektor PZU Zygmunt Koter opowiada: — Pracowałem wtedy w PZUW. W ostatni dzień okupacji żandarmeria zagoniła nas do kopania schronów dla samochodów w Ogrodzie Saskim. Około południa alejami Racławickimi ruszyły wycofujące się kolumny niemieckie. I ludność cywilna z Zamojszczyzny. „Czarni" — nasiedleńcy z Mołdawii. Furmanki, konie, krowy. Praca się skończyła. Żandarmeria wyniosła się do koszar.

Dwie noce i jeden dzień trwały walki wokół miasta. Te dwie noce przesiedziałem w piwnicy na Starym Mieście przy ulicy Grodzkiej. Wciąż leciały samoloty, pociski rwały ziemię i domy.

Drugiego dnia po północy, od strony Lubartowa ukazały się wojska radzieckie i polscy partyzanci. Doszli w rejony ulicy Rybnej. W mieście radość! Ludzie szli z zapasami wędliny, z kwiatami i wódką.

Był 23 lipca. Wyszliśmy na miasto. Dymy płonących domów przesłoniły słońce. Płonęły czołgi. Ulice były zawalone rozbitymi wozami, trupami końskimi, pozrywanymi drutami. Wszyscy szli środkiem jezdni. Wyciągano z piwnic ukrytych Niemców. Na jezdniach pito wódkę. Za wolność, za swobodę. I całowano się. Grały harmoszki. Wszyscy tańczyli.

24 lipca w szyku marszowym wkroczyły na plac Łokietka wojska polskie. Na ścianach domów ukazał się „Manifest".

30 lipca 1944 r. PKWN zajął budynek dawnej Izby Skarbowej przy ulicy Spokojnej 4, dziś 22 Lipca. Kierownictwo PZUW nawiązało kontakt z ministrem do spraw odszkodowań. Otrzymaliśmy zadanie szacowania strat dla PKWN. Dostaliśmy 1 willysa i 7 motocykli. I jeździło się po wolnej Polsce, a przecież dalej czyhały zdradzieckie kule.

W zarządzie LOK na Krakowskim Przedmieściu widziałem gazetkę. Było tam zdjęcie człowieka trzymającego sztandar. Gdzieś wysoko, nad dachami domów. Idę jego śladem. I dlatego stoję u podnóża Zamku. Autokary, grupy turystów. A w 1944 kwarantanna na baszcie, trzy tysiące więźniów. Ci, co w dymie, w radości tańczyli na ulicach, nie wiedzieli, że 22 lipca więzień Jurgo miał być stracony. Więzień Jurgo nie chciał umierać z rąk siepaczy. Lekarskim lancetem zasztyletował komendanta Tanzhausa. W odwet cały czworobok zamkowy zadrżał od salw. Kiedy cela była wypełniona sześcioma warstwami zabitych i przyduszonych, a jeszcze żyjących, Niemcy przechodzili do następnej. Krew płynęła stokiem wzgórza.

Człowieka z tamtej fotografii odnajduję w Związku Emerytów. Nazywa się Wincenty Kot. Ma 72 lata. Wielki społecznik. On utrwalał władzę ludową. Do dziś członek ZBoWiD, PZPR, MK FJN, opiekun społeczny. 54 lata przepracował w straży.

23 lipca od 8 do 12 miał służbę na Bramie Krakowskiej. Z balkoniku strażnicy obserwował miasto. Chodził po tej galeryjce. Nie wolno mu było zasnąć. Sercem wielkiego zegara, co stał nad jego głową, wybijał godziny i kwadranse. Widział, że Niemcy uciekają. Za rogatką lubartowską wznosi się kurz, błyszczy stal. Rosjanie! Coś go chwyciło za gardło. Chciał wtedy zrobić coś pięknego. Otworzył więc skrytkę. Tam była broń. Bezpieczna, bo Niemcy nie zaglądali na galeryjkę. Obok broni ten czerwony sztandar, jeszcze z manifestacji przed wojną. Rozwija go drżącymi rękami. Gdzie zawiesić? Tam, gdzie tylko wejdzie strażak! Na iglicę!

Była godzina 10.15. Radziecki reporter J. Trachman robi zdjęcia. Sztandar długo powiewa nad miastem.

Kiedy w 1947 r. Wincenty Kot jest na Wystawie Ziem Zachodnich we Wrocławiu, odwiedza Muzeum Wojskowe. I staje w jednej z galerii jak wryty. Na ścianie wielki olejny obraz. I on, Wincenty Kot na tym obrazie trzyma czerwony sztandar.

— Ot, i cała historia — uśmiecha się mój rozmówca. — Wcale nie chciałem przechodzić do historii. 24 lipca wojna się dla mnie skończyła. Lublin stał się na kilka miesięcy pierwszą stolicą...

— Drugą — zauważam.

— A niech tam będzie... A pan też może sobie dodać na pocieszenie, że Łódź była trzecią z kolei. Tak to już po tej wojnie...

Taka jest historia pierwszych dni wolności w dwóch pierwszych stolicach Polski Ludowej. Wojna dobiegała końca. Na Unter den Linden za czołgami marszałka Bogdanowa wdarli się polscy piechurzy, by na Bramie Brandenburskiej obok czerwonej wywiesić biało-czerwoną chorągiew. Nastąpił okres powrotów. Odwracała się karta sprawiedliwości dziejowej. Po 25 latach warto wrócić pamięcią do tamtych dni, gdy rodziła się nowa historia Polaków.

RYSZARD BINKOWSKI

Made in Poland

Centrala Handlu Zagranicznego „SKÓRIMPEX", z siedzibą w Łodzi, utrzymuje stosunki handlowe z partnerami w wielu krajach świata. Eksportuje i importuje m. in.: skóry surowe i gotowe, artykuły ze skóry, futra, wyroby gumowe. Dużą pozycję eksportową „Skórimpexu" stanowi obuwie ze skóry. Co roku centrala bierze udział w wielu światowych imprezach wystawienniczo-targowych.

Redakcja „Odgłosów" zwróciła się do dyrektora naczelnego CHZ „Skórimpex" — EDWARDA ŁOZINKO oraz dyrektora ekonomicznego — JERZEGO SZANIAWSKIEGO z prośbą o rozmowę na temat działalności centrali.

ODGŁOSY: Panie dyrektorze, zacznę od pytania, które z pewnością, zaraz na wstępie, pragnęliby zadać panu również nasi Czytelnicy: jaką opinią cieszą się za granicą wyroby naszego przemysłu, eksportowane przez centralę?

DYR. E. ŁOZINKO: Różną. Są towary o unikalnym nieomal charakterze, które osiągnęły wysoką jakość, jak na przykład nasze skóry surowe cielęce i z tego tytułu, w cenie zagranicznej, jest zawarty wysoki profit. Są jednak także towary, które wymagają jeszcze usilnego dopracowania, żeby mogły dorównać międzynarodowemu standardowi. Jednakże gros naszych towarów, głównie skórzanych, osiągnęło średni standard europejski i możemy to uznać za pomyślną perspektywę. Nasi kontrahenci chwalą wiele naszych wyrobów, a m. in. obuwie skórzane, głównie męskie obuwie gumowe z łódzkich zakładów, niektóre rodzaje odzieży futrzanej i skórzanej.

ODGŁOSY: Jakie obuwie cieszy się uznaniem zagranicznych konsumentów?

DYR. J. SZANIAWSKI: Miękkie, lekkie, słowem wygodne, a przy tym modne i estetyczne. Przeważają jednak względy wygody. Takie obuwie głównie eksportujemy, noszą je i są z niego chyba zadowoleni Anglicy, Holendrzy, Francuzi, Kanadyjczycy. Popularny charakter naszego obuwia, cieszą cego się popytem na zagranicznych rynkach, zawdzięczamy specjalizacji produkcji poszczególnych zakładów obuwniczych, które dopracowały się określonej dobrej pozycji na poszczególnych rynkach.

ODGŁOSY: Jakie jeszcze inne nasze wyroby, poza obuwiem, cieszą się popytem za granicą?

DYR. E. ŁOZINKO: Odzież. Przede wszystkim w oparciu o własną bazę surowcową, tj. ze skór świńskich. Więc płaszcze, marynarki, kurtki. Ze skóry produkujemy nawet kostiumy damskie, które zdobyły sobie duże uznanie wśród zagranicznych elegantek.

ODGŁOSY: Jak układa się współpraca centrali z przemysłem?

DYR. E. ŁOZINKO: Dobrze. Powiedziałbym nawet że w wielu przypadkach — harmonijnie. Poza kontaktami, o których jeszcze powiem, utrzymujemy z przemysłem mocną więź za pośrednictwem komitetów branżowych, działających przy naszej centrali. W ich skład wchodzą przedstawiciele zarówno centrali, jak i przemysłu. Komitety — ujmując rzecz bardzo ogólnie — oceniają wyniki pracy w eksporcie i w imporcie, ustalają przyczyny takich czy innych niepowodzeń lub nieprawidłowości i wspólnie szukają dróg naprawy. Jeśli zajdzie potrzeba, podejmują natychmiastowe decyzje, względnie przedkładają odpowiednie wnioski i postulaty z zaleceniem wprowadzenia ich do programowania pracy.

ODGŁOSY: Wydaje się — oczywiście w pełni doceniając rolę i znaczenie działalności komitetów branżowych — iż jest to ciało zbyt liczne, by mogło być w pełni operatywne. Handel zagraniczny wymaga, jak wiadomo, szybkości działania, czy więc...

DYR. E. ŁOZINKO: Rozumiem. Otóż niezależnie od kontaktów na terenie komitetów branżowych, które w pierwszym rzędzie zajmują się programowaniem produkcji i eksportu, centrala utrzymuje stały i ścisły kontakt, powiedziałbym — na co dzień, z zakładami produkującymi na eksport. Omawia z nimi na bieżąco trudności, ujawniające się z obu stron, wspólnie z nimi stara się je niezwłocznie usunąć, działa w kierunku uelastycznienia współpracy, ulepszenia produkcji w zakładzie, pilnuje terminów dostaw i dąży do ich skracania, dba o nieustanne podnoszenie jakości wyrobów i tak dalej. Współpraca ta obejmuje również poważniejsze rozmowy kupieckie, do których zapraszamy przedstawicieli przemysłu, względnie wraz z naszymi zagranicznymi kontrahentami sami jedziemy do zakładów produkcyjnych, gdzie na miejscu wszystko uzgadniamy.

Dalszy ciąg na str. 4

JERZY WILMAŃSKI

TRZY ZŁOTE KORONY I CZERWONY SZTANDAR

Pamiętam taki obraz — nie scenę, lecz właśnie obraz — bo to jest coś statycznego, jak fotografia... A więc idą moi rodzice, oboje dziwnie młodzi. Matka jeszcze piękna. Ojciec nieposiwiały, przystojny. Dalej idą moje Ciotki... Obraz jest czarny, wszyscy są w czarnych ubraniach, tylko bardzo wyrazisty i szary jest bruk ulicy Bugaj... Wtedy umarł Dziadek, był to początek okupacji — siebie nie widzę w tym statycznym obrazie...

Pamiętam także scenę. Dziadek bierze mnie na kolana, ma sumiaste wąsy i potężną łysinę... I tyle co zostało w pamięci z moich najdawniejszych Pabianic.

Potem przyjeżdżałem tu nieraz — najczęściej od strony Zamku — najpierw z Matką do Ciotki, potem sam, potem do przyjaciela, do dziewczyny... Różnie. Zawsze jednak były to wizyty osobiste i tylko moje.

Aż wreszcie przyszło mi przybyć do Pabianic w charakterze reportera. Czy potrafię odejść w tej mojej najnowszej podróży od tamtych osobistych wizyt. Czy potrafię zobaczyć w tym mieście coś więcej niż miasto mojej Matki i mojego Dziadka?

Wiem, że muszę. Z mostku na ulicy Grobelnej muszę dostrzec nie tylko nasze niedzielne spacery do parku, ale te półtora miliarda złotych, jakie w ostatnich czterech latach wydano w Pabianicach na inwestycje, na modernizację i rozbudowę przemysłu. Statystyka od razu podpowie mi w tym miejscu: „wytwórczość pabianickiego przemysłu to 20 procent globalnej produkcji całego województwa".

Wiem, że statystyka ma rację, ale to zdanie bardzo suche, tak jak zdanie w rozprawie Władysława Lecha Karwackiego. Na stronie 215 „Dziejów Pabianic" czytam o latach rewolucji 1905—1907. „W tym okresie pabianicki oddział bezpartyjnego klasowego związku włókienniczego liczył około 1200—1300 członków. Aktywnymi działaczami byli m. in. Józef Lauer, Andrzej Grzelak, Józef Koziróg, Paweł Łaski, Józef Feliksiński, Stanisław Kałużny..."

Dziadek. Z sumiastym wąsem, z ogromną łysiną... Nie mogę go sobie wyobrazić w tym suchym stwierdzeniu „aktywny działacz". A przecież w tej samej rozprawie na stronie 195 historyk przypomina mi raz jeszcze: „aktywnymi działaczmi PPS w Pabianicach w latach rewolucji byli..." znów nazwisko Dziadka.

Czyż potrafię pisać o perspektywach produkcji, modernizacji, o tym, że gazociąg rozciąga się na długości 20 kilometrów, kanalizacja na długości 44 kilometrów — o tych wszystkich komunalnych zdobyczach, o tym, że miasto wykorzystuje przemysłową szansę, że pięknieje, że co piąta rodzina mieszka tu już w nowym bloku...

Wiem, że powinienem, bo dzieje się w Pabianicach to właśnie, o co Dziadkowi szło, gdy nieświadomie wpisywał swoim życiem nazwisko Stanisław Kałużny na karty historycznej monografii miasta.

I dziś historyk uwierzytelnia opowieści mojej Matki o nocnych wyprawach Dziadka, który brał udział w „krawawej środzie" w Łodzi i w ataku na koszary wojskowe. Było ich dziesięciu — dwie „piątki" bojowców — wśród nich dzisiejszy zasłużony działacz KPZR Anton Kącki — żyjący w dalekim Czkałowsku, wśród nich mój Dziadek Stanisław Kałużny otulony ziemią na pabianickim cmentarzu... Dzieli ich smuga cienia, granica życia i śmierci, dzielą ich tysiące kilometrów, ale przecież szło im o to samo... O taką właśnie Polskę, taką Rosję, takie Pabianice i taki Czkałowsk.

Takie Pabianice... Właśnie. Rozbudowuje się „Polfa", rozbudowuje się „Madro", czyli zakład produkujący nowe maszyny drogowe na eksport w ramach RWPG, modernizuje się fabryka waty i gazy, rozbudowują się wreszcie i modernizują słynne Pabianickie Zakłady Przemysłu Bawełnianego... To dawny Krusche i Ender — miejsce pracy mojego Dziadka... Więc kiedy siedzę w poenderowskim pałacyku, w ZMS-owskim klubie „Przy Kominku" (a na stolikach kwiaty, a na estradzie młodzi chłopcy i dziewczęta) nie mogę o tym nie pamiętać. Nie mogę nie pamiętać, patrząc na siedzących wokół młodych robotników i robotnice — ubrani wszyscy w non irony i mini — nie mogę wyrzucić z wyobraźni cajgowej bluzy Dziadka, który tu wejść nie miał prawa...

Może to komuś zabrzmi banałem, ale przecież ten pofabrykancki pałacyk, Pabianice, cała Polska w końcu są materiałem takich „banalnych" refleksji. Lecz w moim bardzo osobistym wspomieniu o Dziadku ta refleksja przestaje być banalna.

Na południe od ulicy Moniuszki wyrastają nowe bloki — tu gdzie kiedyś stały szeregi ciasnych i ciemnych domków o maleńkich oknach. Coraz więcej prefabrykowanych domów, coraz więcej kluczy do nowych mieszkań.

Nowe klucze na starym Bugaju. Pamiętam tę uliczkę, jej szary bruk. W tym statycznym obrazie na którym idziemy za trumną Dziadka. Poskrętna uliczka, biegnąca zakolami — czym jest dla dzisiejszych mieszkańców, czym będzie? Terenem nowego osiedla na 15 tysięcy osób — najpierw wielkim poligonem uprzemysłowionego budownictwa — potem kompleksem bloków pociętym równymi krechami ulic. Cóż zostanie ze Starego Bugaju? Nazwa tylko. I zapis w annałach historyków, że to tu między wieżowcem a pawilonem handlowym było cmentarzysko tzw. kultury pomorskiej z lat czterechsetnych przed naszą erą...

Miasto krzepnie, prężnieje niejako „w sobie" — nie zachodzi potrzeba powiększania jego obszaru; do roku 1980 ludność Pabianic wzrośnie maksimum do 80 tysięcy. Łódź nie wchłonie Pabianic jak wchłonęła Rudę Pabianicką — też przecież kiedyś samodzielne miasto.

Ekonomista mówi: „Długofalowy plan rozbudowy przestrzennej Pabianic zakłada pełną samodzielność funkcjonalną i organiczną miasta. Wiele problemów będzie rozwiązanych w oparciu o daleko posuniętą współpracę z Wielką Łodzią, ale nie w tym znaczeniu, że Pabianice staną się integralną jej częścią. Rozwijające się jako samodzielny organizm miasto koncentrować będzie swą rozbudowę w zachodniej i południowej swej części..."

I słusznie. Jest to bowiem miasto wyjątkowe nie tylko z racji swoich rewolucyjnych tradycji, ale także z racji swojej całej wielowiekowej historii. Zapominam o tym tropiąc postać Dziadka na kartach historycznych rozpraw. A przecież lokacja miasta przypada na pierwszą połowę XIII wieku — Władysław Łokietek to prawo lokacji sygnował. Co prawda historycy dyskutują czy w tym dokumencie wszystkim proceduralnym przepisom stało się za dość, ale jednak historia miasta od niego się bierze.

Dziś Pabianice i od wieków Pabianice. Tenuta in Pabianice, districtus Pabianicensis, castelania Pabianicensis, clavis Pabianicensis, comitatus Pabianicensis... To tu na Zamku Władysław Jagiełło przyjmował posłów czeskich proszących o wstawiennictwo na Soborze w Bazylei, to tu bywał Kazimierz Jagiellończyk... To o Pabianicach pisze Długosz w „Liber beneficiorum diecensis Cracoviensis".

A więc miasto z przeszłością. I z przyszłością. Jeszcze z setkami drewnianych domów pamiętających dawne lata — ale już z dziesiątkami prefabrykowanych bloków. Jeszcze z zapisanymi w pamięci starszego pokolenia nazwiskami Kruschе-Endera, Kindlera, Preissa, Fausta — ale już z wielomilionowym potencjałem przemysłowym naszym wspólnym, polskim.

Na sztandarze miasta widnieje przyjęty w XVII wieku herb kapituły — w srebrnym polu trzy złote korony. A obok na czerwonej wstędze Order „Sztandar Pracy" I klasy przyznany miastu cztery lata temu. Za wybitny udział w rewolucyjnych ruchach robotniczych i w budownictwie socjalizmu.

Myślę, że na jedną z czerwonych nitek tej wstęgi złożyły się życie i walka włókniarza Stanisława Kałużnego otulonego ziemią na pabianickim cmentarzu.

„Dzieje Pabianic" pod redakcją Gryzeldy Missalowej Wyd. Łódzkie 1968 „Pabianice" tekst Maria Kepler. Wyd. Łódzkie 1967.

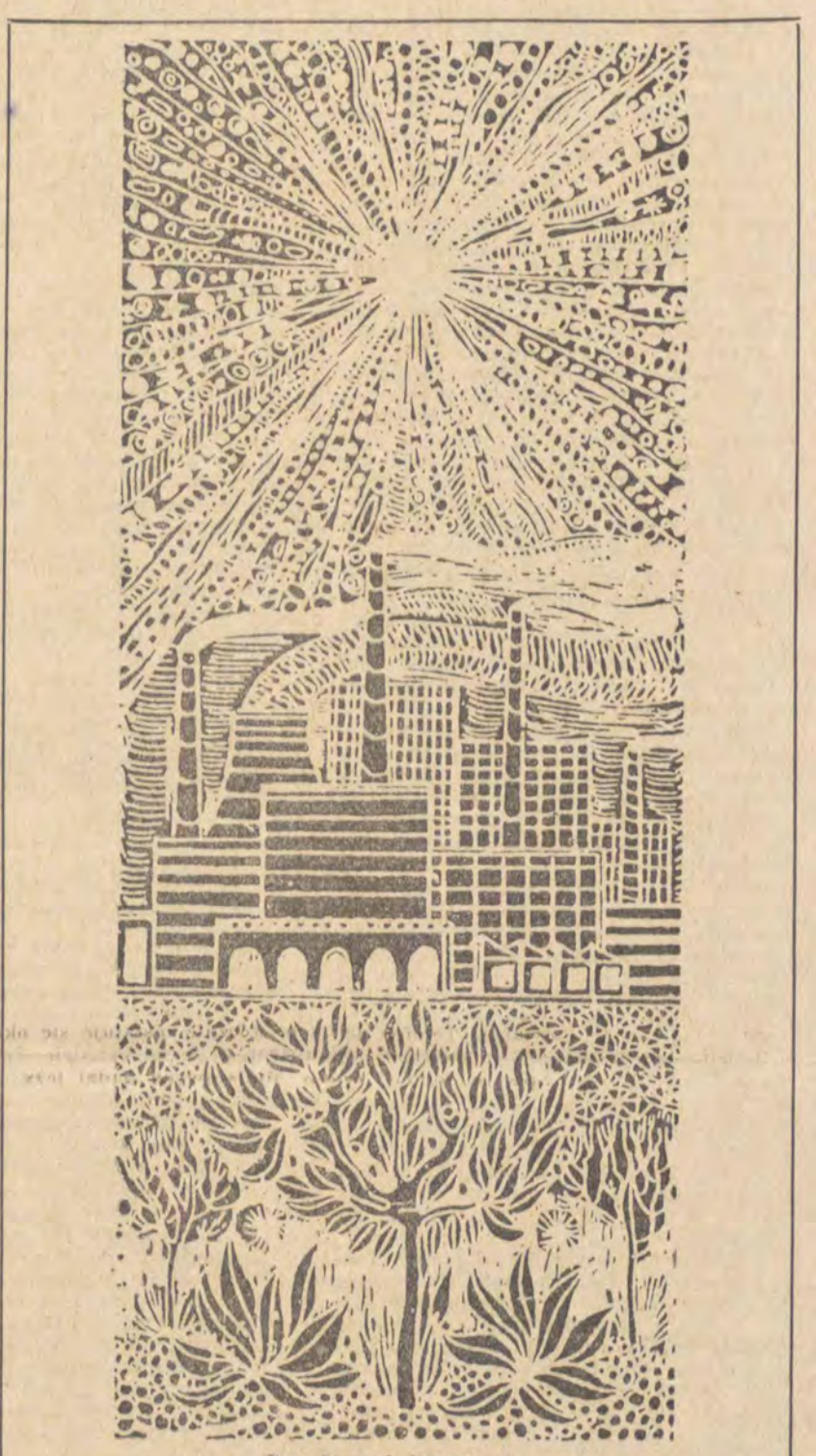

Rys. Henryk Płociennik

Made in Poland

Dalszy ciąg ze str. 3

DYR. J. SZANIAWSKI: Dodajmy jeszcze, że takie kontakty na co dzień mają też i inne, nie mniejsze znaczenie dla obu stron: omówienie koniunktury i zapotrzebowania na określone wyroby, kształtowanie mody, wywieranie wpływu na zwiększenie podaży na produkty lepsze i ładniejsze.

ODGŁOSY: Wynika z tego, że centrala wywiera wpływ na wielkość, kierunki, strukturę asortymentową i jakość wyrobów nie tylko eksportowych?

DYR. E. ŁOZINKO: Oczywiście wyrobów, mieszczących się w eksportowym profilu naszej centrali. Na przykład wiadomo nam, iż na rynkach zagranicznych duże możliwości mają wyroby branży obuwniczej, że można tu liczyć na stale rosnący popyt i — w perspektywie — na zwiększającą się opłacalność, jako kryterium podstawowe. Ponieważ produkcja obuwia ma również szeroki zbyt na rynku wewnętrznym, przeto w tej branży można i należy, programować perspektywiczne, wieloletnie inwestycje. Obserwacja rynków zagranicznych i rynku krajowego wskazują na konieczność rozwijania tej gałęzi przemysłu.

ODGŁOSY: A w innych branżach?

DYR. E. ŁOZINKO: Branża odzieżowo-skórzana szybko zareagowała na naszą propozycję wykorzystania za granicą koniunkturalnego popytu na nowości sezonowe. Przykład: za granicą, dziewczęta w wieku 17—19 lat noszą płaszcze z króliczych skórek. Im są one bardziej niejednolite, tym lepiej. Są to mini-płaszczyki, tanie, lekkie, nieco ekstrawagankie. Nasz przemysł wykazał refleks, uruchamiając produkcję na bieżąco i wykorzystał istniejące aktualnie możliwości produkcyjne w kraju, co jednak nie zaspokoiło w pełni możliwości zbytu na rynkach zagranicznych. Naturalnie nie każda branża może się tak szybko przestawić. Niemniej, wszędzie, gdzie istnieją takie warunki, należy je maksymalnie wykorzystać. Jednym z najbardziej istotnych elementów sukcesu handlowego jest szybkość i operatywność.

ODGŁOSY: Jak kształtują się obroty centrali z zagranicą?

DYR. J. SZANIAWSKI: Notujemy stały wzrost obrotów. Dla porównania parę liczb. Weźmy okres pięcioletni. W roku 1964 nasze obroty globalne, we wszystkich branżach łącznie, zamknęły się sumą 289 milionów zł dewizowych. W roku 1968 suma ta wzrosła już do 514 milionów. Jest to duży skok. Można śmiało powiedzieć, iż obroty naszej centrali wykazują tendencję stałego wzrostu. Rok bieżący powinniśmy zamknąć kwotą blisko 700 mln zł dewizowych.

ODGŁOSY: Jaki kraj jest najpoważniejszym kontrahentem centrali?

DYR. E. ŁOZINKO: Związek Radziecki. Na bardzo chłonnym rynku radzieckim lokujemy przede wszystkim obuwie skórzane i różne artykuły gumowe. Radzieccy konsumenci są z naszego obuwia zadowoleni i na tamtejszym rynku mamy nadal duże możliwości zbytu. W ubiegłym roku nasze obroty ze Związkiem Radzieckim osiągnęły sumę 189 milionów zł dewizowych. Spośród krajów kapitalistycznych naszymi najpoważniejszymi partnerami handlowymi są Anglicy, Francuzi, Holendrzy, Kanadyjczycy, Belgowie. Eksportujemy tam obuwie skórzane i gumowe, skóry surowe i gotowe, ogumienie oraz inne wyroby naszego przemysłu gumowego. Bardzo dobrym kontrahentem jest Szwecja. Nie mówię o innych naszych partnerach handlowych, zatrzymując się jedynie na tych, z którymi utrzymujemy najbardziej ożywione stosunki handlowe.

ODGŁOSY: Panuje powszechne przekonanie, iż celem handlu zagranicznego jest przede wszystkim zdobywanie dewiz. Jednakże, nie negując i tej jego funkcji, ważnej z punktu widzenia bilansu płatniczego, spełnia on szereg innych zadań. A zatem, czy zechciałby pan odpowiedzieć na pytanie: jaką aktualną rolę odgrywa handel zagraniczny w naszym życiu gospodarczym?

DYR. E. ŁOZINKO: Wyczerpująca odpowiedź na to pytanie zajęłaby zbyt wiele miejsca, przeto z konieczności ograniczę się do zasygnalizowania istoty tych problemów. Aktualna rola handlu zagranicznego w gospodarce narodowej została zdefiniowana na V Plenum Komitetu Centralnego partii w roku 1965. Miało ono przełomowe znaczenie dla dalszego rozwoju naszych obrotów z zagranicą oraz wskazało na funkcję i znaczenie handlu zagranicznego w gospodarce narodowej. XI Plenum KC z kwietnia 1968 roku, tezy, dyskusja i uchwały V Zjazdu potwierdziły tę jego rolę i wzbogaciły o dalsze cenne elementy, stymulujące do poszukiwania właściwych dróg do wzrostu wymiany międzynarodowej, w tym oczywiście eksportu. Jednakże najważniejsze jest to, iż handel zagraniczny przestaje być tylko dostarczycielem dewiz na pokrycie potrzeb importowych, a zostaje również wprzęgnięty do całego systemu ekonomicznego i ma istotną rolę do odegrania w selektywnym rozwoju naszej gospodarki.

ODGŁOSY: W czym się to przejawia?

DYR. E. ŁOZINKO: Znamion i konkretnych postano

ROBERT GLUTH

A lato było takie piękne...

Do gmachu dowództwa Marynarki Wojennej w Gdyni przybyłem jeszcze przed godziną ósmą. Elegancki oficer dyżurny wskazał mi uprzejmie krzesło w hallu. Siedzę — czerwone chodniki, wartownik w granatowym mundurze, w białych rękawiczkach. Cisza. Siedzę tak i ni stąd ni zowąd przychodzi mi na myśl potężny tom „Pieśni powszechnej" Pabla Nerudy. Jest tam taka ballada, bodaj że o podróży Emiliano Zapaty, złożona z samych nazw miast i miasteczek przez które przejeżdżał ów meksykański Guevara w początkach tego wieku. Przypominam sobie, że we wstępie, któryś ze znakomitych tłumaczy, chyba Jarosław Iwaszkiewicz — wykazał praktyczną niemożność ułożenia podobnej ballady w języku polskim. Gdzież tu Wołominowi czy Otwockowi do nazw hiszpańskich patetycznych i pełnych muzyki. Ale przecież są słowa najpiękniejsze w języku polskim, a też określające skupiska ludzkie, troski, nadzieje, również tych chłopaków czupurnych i wysportowanych w granatowych beretach z napisem „Marynarka Wojenna". Są słowa takie jak Oksywie, Reda, Wejherowo, Westerplatte...

Ale już szum na korytarzu, szybkim krokiem wchodzą oficerowie, wartownik salutuje. Tak wielu komandorów na raz oczy moje nigdy w życiu nie oglądały. I nagle krótka komenda: baczność! Wstaję i ja ze swojego krzesełka w hallu. W drzwiach ukazuje się wysoka, barczysta postać, tak dobrze znana i szczególnie ulubiona w naszej Łodzi dalekiej od morza.

— Obywatelu admirale, oficer dyżurny dowództwa Marynarki Wojennej melduje...

Wiceadmirał Studziński podaje rękę komandorowi i sprężystym krokiem wchodzi na górę. Dzień się rozpoczął. Tutaj bije serce — skomplikowany mechanizm — naszej straży nad bałtycką linią brzegową liczącą wraz z zalewami dumne 694 kilometry.

Jesienią br. rozpoczną się obchody 25-lecia ludowego „Marwoju" — wmurowaniem tablicy pamiątkowej w Lublinie, gdzie powstał w 1944 pierwszy samodzielny batalion zapasowy — zalążek dzisiejszej potęgi morskiej. Warto pamiętać, że jego dowódcą był niedawno zmarły łodzianin — komandor porucznik Karol Kopiec, który prowadził chłopaków do utęsknionego Bałtyku przez wszystkie pola bitewne.

Nie lubię suchych liczb, ale są liczby żywe, spełnienia marzeń, liczby, za które trzeba było walczyć, przegrywać, znów walczyć i zwyciężać. Dlatego Czytelnicy wybaczą mi, że podam kilka danych statystycznych:

W przeddzień wybuchu wojny ilość oficerów marynarki posiadających wyższe wykształcenie nie przekraczała 12 proc. całego korpusu oficerskiego. W 1952 roku wskaźnik ten wynosił 11,4 proc. a obecnie 42,7, a więc prawie połowę. I druga sprawa: posiadamy siłę ognia marynarki większą sześciokrotnie niż wtedy, gdy pod pociskami szkolnego liniowca Schlezwig-Holstein krwawili ludzie na Westerplatte.

Chciałem dzisiaj Czytelnikom powiedzieć o tej części działalności marynarki wojennej, której na ogół nie znamy. O ludziach dbających o to, aby żadna przelana krew nie została zapomniana — o pracy historyków walk stoczonych w obronie pozornie beznadziejnej, a bezprzykładnej historycznie. Jest ich wielu — chociażby komandor dr Witkowski, komandor Czesław Krzynówek, komandor Zbigniew Buszyćło.

1.

Najpiękniejszą kartę w kampanii wrześniowej zapisali obrońcy Wybrzeża. Z tą prawdą wiąże się jednak niebezpieczny wychowawczo i poznawczo schemat półprawd czy wręcz symboli nie zawsze trafiających w sedno. Krótko mówiąc, zbyt mało wie młode, a nawet starsze pokolenie o bojach stoczonych nad Bałtykiem w roku 1939, o których pisał poeta, że „równo czwórkami do nieba szli". Trzeba więc koniecznie upowszechnić badania prowadzone nad Bałtykiem, nad jego dramatem wrześniowym i bezprzykładnym bohaterstwem marzynarzy i ludzi przymorza. To jest jeden z naszych największych skarbów narodowych.

2.

Pułkownik Załuski w swojej książce „Siedem polskich grzechów głównych" bardzo pięknie rozprawiał się z dwoma pogląd ami na naszą walkę. Nie mogli się pogodzić ani z narodowym lamentnictwem ani z kpiną z bohaterstwa — wysunął trzecią koncepcję: odbrązowił pewne mity i przypisał nam chłodny lub pełen zapału racjonalizm. Istnieje jednak koncepcja czwarta — być może najprawdziwsza, bo oparta mocno na wszystkich faktach.

Zawsze mnie zastanawiał niebywały wręcz wypadek w kampanii 1939 roku — obrona Wybrzeża. Jest to wypadek niezmiernie skompilkowany, bo łączy w sobie spokój i opanowanie dowódców i żołnierzy z błędami popełnionymi przez naczelne władze wojskowe w przedwrześniowej Warszawie, a także łączy bohaterstwo, które nie ma w sobie ani tzw. somosierszczyzny, ani rozwiniętej koncepcji realistycznej. Przypadek heroizmu ostatnich redut Rzeczypospolitej jest terenem do badań wszechstronnych.

Symbole mają to do siebie, że kształtują jakiś pogląd na długie lata, a czasami nieodwracalnie — na pokolenia. Tak właśnie jest z symbolem Westerplatte, ważnego odcinka, ale tylko odcinka tej nadmorskiej kampanii. Ponadto symbol niesie z sobą jeszcze jedno niebezpieczeństwo. Istnieją na przykład szkoły imienia Bohaterów Westerplatte, ale dla młodzieży i odbiorców sztuki, oprócz miejsca, gdzie mieściła się składnica tranzytowa powinien istnieć na przykład strzelec Kowalczyk — konkretny bohater, który wspólnie z Bronisławem Ussem zniszczył niemiecki karabin maszynowy, przy czym obaj ponieśli śmierć.

Czy umieranie jest rzeczą łatwą? Czy rzeczywiście bohaterstwo żołnierza nie ma żadnych ludzkich granic? Skąd się wzięło „odfajkowywane" w szkołach zacieśnianie problemu obrony Wybrzeża w 1939 roku do oporu Wojskowej Składnicy Tranzytowej. Trudne pytania, trzeba na nie jednak wyraźnie odpowiedzieć.

3.

Nie opodal Gdyni, a właściwie w jej obrębie, znajduje się Oksywie. Tam wykopano wiele eksponatów archeologicznych i militarnych. Dr Łuka z Gdańska interesuje się z punktu widzenia archeologicznego wykopaliskami pradawnymi, od których nawet utworzono termin „kultura oksywska". Ciekawe, że ta formacja kulturalna łączy się w jakimś sensie z kulturą serbo-łużycką. To już bardzo dawne dzieje, liczone na setki lat, ale istnieje zapewne związek między tak prastarą słowiańskością tego skrawka Europy z faktem, że Oksywie — jako ostatnia reduta lądowej obrony Wybrzeża nigdy nie skapitulowało. Po rozgromieniu zaś tej obrony niemieccy fachowcy od blitzkriegu mieli jeszcze przerażający dla siebie z punktu widzenia propagandowego orzech do zgryzienia: opór części obrony morskiej i baterii helskich, które skapitulowały praktycznie w dniu 2 października, a potężne liniowe okręty Schlezwig-Holstein i Schlesien wróciły do bazy mocno pokiereszowane.

Na cmentarzu w Oksywiu, Wejherowie, Redlowie i Rumii leżą ciała żołnierzy i marynarzy tej niezwykłej operacji obronno-atakującej, która miała miejsce na morzu i lądzie. Nie ustalono do tej pory, ilu naszych wspaniałych chłopców padło w obronie Wybrzeża, ale można przyjąć liczbę 3 tysiące poległych. Łącznie z rannymi daje to jedną trzecią wszystkich sił zbrojnych zaangażowanych w odpieraniu dwukierunkowego natarcia niemieckiego. Tylko naród, który tak potrafi się bronić, zasługuje później na zwycięstwo.

Napisałem, że prastara polskość Pomorza gdańskiego ma pewien związek z uporem i aktywnością naszej obrony. To jest prawda, że ludność Wybrzeża oraz oddziały wojsk tam stacjonujących wykazały ogromny hart ducha i opanowanie cechujące zasiedziałego gospodarza wobec rozwścieczonych intruzów z najbliższego sąsiedztwa. Począwszy od Westerplatte, do powiatów gdyńskiego, morskiego czy kartuskiego upór obrony i jej aktywność były nieprzerwane. Ta aktywność świadczy o duchu obrony i sprawności działań na lądzie. Fakt upadku Kępy Oksywskiej (upadku, nie kapitulacji) nie przeszkodził ostatniej już reducie Rzeczypospolitej, bateriom helskim w nawiązywaniu bezpośrednich pojedynków ogniowych z niemiecką marynarką wojenną.

Gdy się mówi z weteranami tamtych walk, słyszy się o kontratakach, niespodziewanych zaskoczeniach przeciwnika, o nieustannej walce.

Wybrzeże broniło się właśnie tak dzięki kilku czynnikom. Do nich należy zaliczyć męstwo obrońców, uzbrojenie sporej rzeszy robotników gdyńskich (słynni „Kosynierzy") i wcielenie ich do oddziałów zapasowych. Również harcerze i pielęgniarki walczyli lub pomagali w walce z ogromnym entuzjazmem. Tutaj wspomnieć trzeba też o takich sprawach jak doskonała sztabowa i liniowa oganizacja obrony lądowej Wybrzeża jej planowość, zdecydowanie dowódców i obecność na najbardziej wysuniętych odcinkach całej kadry, aż do głównodowodzącego całością kontradmirała Józefa Unruga, który przeniósł się wraz ze ścisłym sztabem z Oksywia na Hel, skąd później kierował obroną. Wydaje mi się, a potwierdza to mój rozmówca komandor Krzynówek, że wielką rolę odegrała tutaj fascynacja morzem, miłość do ówcześnie tak niewielkiego Wybrzeża.

A sytuacja obrony nie była bynajmniej łatwa. Również z uwagi na to, że w okresie poprzedzającym wojnę najwyższe władze wojskowe z ministerstwem i Głównym Inspektoratem Sił Zbrojnych dosyć po macoszemu traktowały Wybrzeże. Wystarczy nadmienić, że betonowe bunkry i umocnienia posiadała tylko składnica tranzytowa na Westerplatte, gdzie w heroicznej walce zgromadziło się 182 żołnierzy — szeregowych i oficerów, z majorem Sucharskim na czele. Można również dodać, że nie postarano się wcześniej — mimo nieprzerwanych monitów szefa kierownictwa Marynarki Wojennej u ministra spraw wojskowych — o lotnictwo bombardujące i torpedowe. Zmora walczącego Westerplatte a później Helu — liniowiec Schlezwig-Holstein stanowił wymarzony cel dla działań lotniczych z uwagi na ograniczoną swobodę ruchów. Jeszcze na parę miesięcy przed wojną — nie mówiąc już o dniach mobilizacji i odziałach robotniczych — część ludzi ubrana była nie

w typowe mundury lecz w drelichy i stare uniformy przysposobienia wojskowego. Przedtem naturalnie Ministerstwo Spraw Wojskowych miało inne problemy na głowie: zupełnie mitologiczny projekt aktywnego sojuszu wojskowego z Anglią i Francją. Żeby nie być gołosłownym — warto zacytować krótką odpowiedź niesławnej pamięci wiceadmirała francuskiego Darlana na konferencji międzysztabowej w Paryżu w dniach 15—17 maja 1939. Generał dywizji T. Kasprzycki zadał pytanie, czy Polska może spodziewać się współdziałania flot na Bałtyku, na co otrzymał wyjątkowo uprzejmą od powiedź monsieur Darlana: „Współdziałania takiego należy szukać z marynarką brytyjską, której bazy są bliższe, aniżeli bazy francuskie." Ale w Wejherowie, na Oksywiu i Helu w jakimś stopniu obrońcy liczyli na desant brytyjski, gdy zaczęła się wojna. Nie byli naiwni ale liczyli, tym bardziej że w myśl tzw. planu „Pekin", tuż przed wybuchem wojny trzy nasze niszczyciele klasy co najmniej europejskiej zostały wysłane do Anglii. Dodać należy, że wszystkie trzy zapisały się chlubnie w drugiej wojnie światowej, a plan „Pekin" był istotnie bardzo rozsądny, ponieważ niewielki akwen działania naszej floty w dniu 1 września uniemożliwiał swobodny ruch dużych ścigaczy na Bałtyku, o czym tragicznie przekonały się załogi dwóch pozostałych naszych niszczycieli, zamienionych z konieczności na dryfujące baterie obrony Helu.

Bardzo istotną rolę w poświęceniu i bezpardonowości obrony Wybrzeża odegrała chyba jeszcze rola Gdyni — miasta zbudowanego przez polskiego inżyniera i robotnika — naszego jedynego wówczas portu, chluby całego narodu. Gdyni należało bronić za wszelką cenę. Takie było stanowisko dowództwa obrony morskiej. Dlatego wszystkie terminy wymaganego przetrwania zostały wydłużone kilkadziesiątkrotnie, dlatego nie kapitulowało Oksywie, dlatego w walkach na lądzie zginęło około trzech tysięcy ludzi, szczególnie na kierunku głównego uderzenia niemieckiego, a więc na linii Wejherowo-Oksywie. Walka Oksywia zakończyła się praktycznie wraz ze śmiercią bohatera obrony lądowej pułkownika Stanisława Dąbka, który po 19 dniach aktywnej, okrężnej operacji obronnej popełnił samobójstwo, nie chcąc dostać się do niewoli.

Piętno bezwzględnej dyscypliny i elastyczności obrony nosi na sobie właściwie każde z miejsc, gdzie bili się ludzie na lądzie i morzu. W przeddzień kapitulacji Helu masowo zniszczono sprzęt i wszystkie dokumenty, żołnierzom i cywilom rozdano wszystkie zapasy żywności i odzieży. Podejmowane były również próby ucieczek przed niewolą, nawet na kutrach rybackich i motorówkach. Kapitulacja po miesięcznej obronie była wymuszona czynnikami obiektywnymi: brakiem amunicji i szczupłością zapasów żywności.

4.

W obronie Wybrzeża po raz pierwszy w kampanii nastąpiło zgranie wszystkich istniejących do dyspozycji wojsk. Na przykład dużą rolę w obronie Wybrzeża odegrały całkowicie w Polsce wyprodukowane trałowce minowe — tzw. „ptaszki" współdziałające z wojskami lądowymi. Ponadto warto nadmienić, że w powstającej stoczni wojskowej w Gdyni wojna zaskoczyła założone stępki pod niszczyciele własnej polskiej konstrukcji. Blachy pancerne, które zgromadzono dla budowy okrętów, posłużyły do opancerzenia pociągu „Smok Kartuski", który przez cały czas obrony lądowej kursował na najbardziej zagrożonych odcinkach, siejąc śmierć wśród żołnierzy niemieckich.

5.

Gdy się patrzy na cmentarz w Oksywiu schodzący ze swoimi grobami w dół — przychodzi na myśl cmentarz pod Monte Cassino. Tylko że wtedy, we Włoszech, szły z tyłu dalsze armie Alexandra lorda of Tobruk, a bohaterom od Wejherowa do Westerplatte — przez cały czas odciętym od reszty kraju — mogły tylko przypomnieć się słowa przedstawiciela admiralicji brytyjskiej: „Głównym zadaniem floty Zjednoczonego Królestwa jest strzeżenie własnych, imperialnych dróg transportowych".

---

wień jest dużo. Ale może najważniejszą sprawą jest specjalizacja produkcji przeznaczonej na eksport oraz określenie branż rozwojowych. Zakłady, które uzyskały status zakładów specjalizujących się w eksporcie, otrzymały duże przywileje w zakresie zarządzania, planowania i finansowania.

DYR. J. SZANIAWSKI: Należy dodać, iż odpowiednie uchwały partii i rządu wprowadziły jednocześnie element stabilizacji masy towarowej, przeznaczonej na eksport, m. in. poprzez zawieranie długookresowych umów o współpracę. Stanowią one bardzo poważny instrument integracyjny pomiędzy przemysłem a handlem.

DYR. E. ŁOZINKO. Zarówno na rynkach krajów naszego obozu, jak i krajów kapitalistycznych konkurencja jest ogromna i bardzo ostra. Dla naszych wyrobów nie ma tam żadnej taryfy ulgowej. Ale i my również nie stosujemy takiej „taryfy" przy naszym imporcie.

Pomijając już zrozumiałą konieczność troski o wysoką jakość przywożonych towarów, funkcję importu można określić, jako czynnik konfrontacji produktu rodzimego z importowanym produktem obcej konkurencji. Wywiera ona, bo musi wywierać, określony i pozytywny wpływ na krajowego producenta. W ogólnym sensie wpływ ten jest odczuwalny na rynku krajowym, ponieważ zmusza nasze zakłady przemysłowe do nieustannego podnoszenia jakości produkcji, wprowadzania nowych asortymentów, ulepszania procesów technologicznych, wprowadzania postępu technicznego do produkcji, obniżania kosztów własnych itd. To energiczne dążenie przemysłu do konkurencyjności produktu odczuwamy w naszym eksporcie. Coś w rodzaju sprzężenia zwrotnego.

ODGŁOSY: Czy poza elementami współpracy, o których panowie mówili, istnieje jeszcze jakaś inna płaszczyzna współpracy centrali z przemysłem?

DYR. J. SZANIAWSKI: Tak. Istnieje i jest ona wielokierunkowa. Podstawą naszej współpracy z przemysłem w zakresie kształtowania oferty przemysłu dla potrzeb „Skórimpexu", jest dążenie centrali do zacieśnienia kontaktów producenta z rynkiem zagranicznym. Nasze praktyczne działanie w tym kierunku jest wielostronne. Centrala przekazuje przemysłowi bieżące informacje o modzie i jej najbliższych tendencjach, o zagranicznych nowościach rynkowych, o nowościach rozwiązań konstrukcyjnych, o zużywalności surowców w zakładach czołowych producentów zagranicznych, o nowościach technologicznych itp. Ale przecież nie zastąpi to żywych i bezpośrednich obserwacji rynków zagranicznych. Jest nieomalże zasadą, że we wszystkich poważniejszych wyjazdach, tak zwanych akwizycyjnych, uczestniczą delegaci przemysłu. Również w wielu branżowych, specjalistycznych imprezach wystawienniczo-targowych biorą udział, na nasze zaproszenie, specjaliści z przemysłu z zakresu mody, wzornictwa. Te, jak i szereg innych inicjatyw centrali stwarzają przemysłowi korzystne warunki do penetracji i poznania zagranicznych rynków, do konfrontacji na bieżąco własnych możliwości z możliwościami obcych producentów oraz przenoszenia na własny grunt interesujących doświadczeń zagranicznych. Wyniki tych procesów dostrzegamy na rynku wewnętrznym. Obiektywnie rzecz biorąc, wzrosła jakość naszych wyrobów, ich estetyka i asortyment. W przemyśle daje się odczuć dążenie do lepszej i bardziej nowoczesnej produkcji.

ODGŁOSY: Zakres oddziaływania tej konfrontacji jest z pewnością szerszy?

DYR. E. ŁOZINKO: Oczywiście. Wspomniałem o tym bardzo pobieżnie, ale implikacji jest znaczenie więcej. Weźmy na przykład zagranicznych kontrahentów. Oni też konfrontują wyroby naszego przemysłu. Widząc niewątpliwe postępy w jakości naszych produktów, w zróżnicowaniu asortymentów, technologii produkcji i in., wyrabiają sobie opinię o tempie rozwoju naszej gospodarki. Wspomnę przy sposobności, iż nasi zagraniczni partnerzy są nieraz zdumieni szybkim wzrostem potencjału gospodarczego naszego kraju. Ta pochlebna opinia umacnia naszą pozycję na zagranicznych rynkach. Mówiąc o tym mam na myśli krajowe wyroby, eksportowane przez wszystkie agendy handlu zagranicznego.

ODGŁOSY: Czy centrala inspiruje jakieś wnioski w zakresie specjalizacji produkcji?

DYR. E. ŁOZINKO: Tak. W każdej branży, mieszczącej się w profilu eksportowej działalności centrali, istnieją grupy towarowe, w których nasz przemysł może i powinien rozwijać się i specjalizować, ale są i takie, których — z różnych względów — nie warto rozwijać i w które nie opłaca się inwestować. W ten sposób unikamy rozproszenia sił i środków. Dla każdej współpracującej z nami gałęzi produkcji zostały wspólnie opracowane wieloletnie programy rozwoju eksportu, które teraz, w okresie opracowywania planu pięcioletniego, będą stanowiły materiał wyjściowy.

ODGŁOSY: Panie dyrektorze, jeszcze jedno pytanie. Czy Polacy potrafią handlować?

DYR. E. ŁOZINKO: Potrafią. I zapewniam pana, że handlują znakomicie. Ongiś Polacy rzeczywiście nie umieli handlować, a raczej nie chcieli handlować. Sądzę, iż ta pogarda do handlu wywodziła się z zacofanych szlacheckich tradycji. Z upływem czasu, gdy handel coraz bardziej stawał się koniecznością życiową, zanikały opory i kompleksy. Dziś mamy liczne kadry zdolnych, wykształconych i dobrze przygotowanych fachowców, bez **kompleksów niższości wobec zagranicznych partnerów.**

Rozmawiał:
WŁODZIMIERZ STOKOWSKI

ANTONI KASPROWICZ

PORTRET

Pracować u dobrego fachowca, to satysfakcja. A takim fachowcem był właśnie majster Pluskota, malarz pokojowy, cieszący się uznaniem całej naszej dzielnicy.

Pracowałem u niego jako czeladnik i trzeci rok prawdę mówiąc nic złego nie mógłbym o nim powiedzieć, jak tylko to, że był cholernym bigotem i jak niektórzy powiadają „zabitym katolikiem".

W mieszkaniu majstra — prawdziwa kaplica. W dużym pokoju (był posiadaczem pokoju z kuchnią, co budziło duży respekt u klientów) między dwoma oknami na staroświeckiej komodzie — olbrzymi krzyż, a po prawej i lewej stronie dwa porcelanowe anioły klęczące obok lichtarzy z płonącymi świecami, a wyżej na ścianie Matka Boska z Dzieciątkiem oświetlona dniem i nocą różową lampką oliwną, zawieszoną na łańcuszku przed obrazem odbijającym w szkle migotliwe światło.

Nad dwoma łóżkami pełno obrazów świętych, dwanaście, a może i więcej, a przy drzwiach ozdobionych literami K.M.B. kropielnica ze święconą wodą.

Prawdę mówiąc, swoją bigoterią Pluskota wyrobił sobie sporą klientelę w dzielnicy, bo wszystkie pobożnisie za nic nie powierzyłyby malowania mieszkań innemu majstrowi jak tylko Pluskocie — prawdziwemu katolikowi.

Trzeba jednak przyznać, że jak nasz majster odwalił robotę — to tylko kucać i podziwiać z otwartą gębą Czyściutko, równiutko, bez żadnych pęknięć, zachlapnięć i plam na ścianach. A na drabinie to istny tancerz. W try miga obtańcuje mieszkanie ciągnąc strychcjerkiem kolorowe paski dzielące biel sufitu od kolorowego tła porolkowanych ścian. Przy tym nie klął, nie palił i nie zachlewał się na amen jak na przykład majster Borucki z ulicy Milionowej i nigdy za żadne skarby nie godził się na malowanie w niedziele lub święta co często praktykowane było w naszej dzielnicy z uwagi na wolny dzień od pracy.

To też wszystkie niedziele i święta mieliśmy z drugim czeladnikiem i praktykantem wolne od pracy.

Ambitny był też majster Pluskota. Nigdy nie borgował w sklepiku farb jak inni. Za wszystko bulił gotowizną, a sprzęt malarski u niego — proszę. wózek dwukołowy do przewożenia drabin, farb, wiader i gratów. Dwie drabiny sześcio, a dwie dziewięcioszczeblowe, cztery używane i cztery nowe ławkowce, wiadra, szpachelki, linijki, strychcjerki i inne różne pędzle do kleju i oleju, nie licząc gumowych rolek o pięknych deseniach i mnóstwa szablonów, które sam komponował i wycinał. Jednym słowem porządny warsztat.

Jak już wspomniałem pracowałem u majstra trzeci sezon i może pracowałbym dalej, gdybym ostatniej kwietniowej soboty plincował w chacie i nie rwał się na spacery. Ale mnie właśnie zachciało się spacerować po pracy, bo wiadomo: czyste niebo, zieleniejące bzy i kasztany, no i dziewczęta, smukłe, uśmiechnięte dziewczęta, spacerujące ulicami.

I wtedy to właśnie natknąłem się na Władka Sokalę i Ryśka Tarana.

Ojciec Władka był szewcem w naszej dzielnicy i słynął z dobrej roboty, a Rysiek Taran, tkacz z zawodu, był znanym bywalcem czytelni i biblioteki publicznej przy parku Źródliska i prawdę mówiąc rzadko się z nimi spotykałem. Ot, serwus, serwus. I tyle.

Pierwszy doskoczył Władek.

— Oj, dobrze, że cię widzę „Matejko" — zawołał uradowany potrząsając mi łapą, a Taran już targa mnie za kapotę i pytluje:

— Słuchaj „Matejko", nie bądź cieciem i pomóż nam. Przysłużysz się klasie i narodowi. To nic takiego, to tylko portret, uważasz. No, chodź do mnie, do chaty. Zobaczysz tylko, doradzisz tylko i pójdziesz sobie. No, nie bądź cieciem... „Matejko".

Prosili, błagali, nadskakiwali, grozili nie dając mi wypowiedzieć słowa i prawdę mówiąc, nie wiadomo kiedy znalazłem się w mieszkaniu Tarana. Izdebka malutka i biedniutka jak prawie u wszystkich mieszkańców naszej dzielnicy. Przy żelaznym piecyku krzątała się żona Tarana.

— No, gdzie ten portret? Dawajcie! — zawołałem sadowiąc się na krześle. I w tej samej chwili Taran podskoczył do szafy, rozwinął na stole rulon brystolu, a na brystolu — nieudany zarys profilu twarzy ludzkiej o wysokim czole i sterczącej bródce.

— Kto to ma być? — zapytałem unosząc głowę.

— To nie ma być. To dopiero będzie — powiedział Sokala pochylając się nad arkuszem przypiętym juz pineskami do blatu stołu.

— To dopiero będzie — podchwycił Taran — jeśli ty nam pomożesz, bo nam jakoś nie wychodzi, a pragniemy, by za kilka dni patrzyło na ten portret tysiące ludzi, kapujesz?

— Tak, tysiące — potwierdził Sokala, opierając się rękami o stół.

— Więc kto to ma być wreszcie na tym rysunku? — zapytałem powtórnie, z ironią. Bo trudno rozpoznać: bokser, święty, fabrykant, poeta?

— To ma być On! — wykrzyknął nagle Władek, wyjmując z kieszeni jakąś podobiznę wyciętą z gazety. On, kapujesz? Ten, który wstrząsnął całą Europą, strącił cara z tronu, a ludowi dał wolność i władzę.

Przyglądałem się więc milcząc zdjęciu, przyglądałem, przyglądałem, aż wreszcie Taran krzyknął:

— Lenin, frajerze.

— Lenin — powtórzył Władek Sokala.

Zrobiło się cicho, tylko fajerki brzęczały na piecyku pod przestawianymi garnkami.

— I co ty na to? — zapytał Taran.

— I co ty na to? — podchwycił Władek.

— A gdzie wy ten portret zawiesicie? — spytałem po chwili milczenia, zaciekawiony.

— Jak go ukończymy, to zobaczysz. W każdym razie w największej sali miasta — dodał Taran, poklepując mnie po ramieniu.

— A więc pomóż nam, kochany „Matejko". Pomóż, chociaż odrysować głowę, bo z krawatem, kapotą i kamizelką sami damy sobie jakoś radę. Na Boga, nie odmawiaj. Przecież cała dzielnica wie, żeś na kościelnej chorągwi wymalował za darmo świętą Annę, „Matejko".

— No, dobrze — wycedziłem po chwili, ale pokażę wam tylko jak się rozmieszcza i cieniuje oblicze. Dobrze?

Przytaknęli głowami i podali mi cztery ołówki.

— Bo uważacie, chłopaki — pouczałem cieniując po szkicu — z jednej strony trzeba twarz przyciemnić, żeby nabrała bryłowatości, z drugiej zaś dla kontrastu rozjaśnić. O, a te brwi nad oczami muszą iść ukośnie, nadając twarzy ostrości, a nie jak żeście narysowali — prosto, poniżej poziomu wystających uszu. A wąsy, patrzcie — tak się rysuje. A wyłysiała głowa, uważacie, musi na czubku być trochę ścięta, jak jajko. No czy nie lepiej wygląda teraz? — pytałem szorując po kartonie ołówkami.

Przytakiwali i uśmiechali się zadowoleni, a kiedy wreszcie zakrakałem — na dzisiaj koniec — Taran bez słowa zwinął karton w rulon i schował z powrotem do szafy.

— Nie spodziewaliśmy się, żeś taki majster i morowy chłop — chwalił Taran, poklepując mnie jak psiaka. — No, dziękujemy ci, chłopie. Naprawdę szczerze dziękujemy. Resztę portretu dokończymy już jutro z Władkiem. Jakoś to będzie. Postaramy się. Dziś dużo nam pokazałeś. Nie ma co, masz talent, cholero.

„Na co im taki wielki portret, rozmyślałem, powracając późnym wieczorem do domu. Gdzie oni go do diabła zawieszą? A jednak pod moją ręką bohomaz uzyskał wyraz i podobiznę, bo zachowałem proporcje w rozmieszczeniu elementów, o czym oni nie mają zielonego pojęcia i jeszcze gotowi jutro skopać ładny kawałek odwalonej roboty. Jak to ten Taran powiedział? Acha, powiedział:

— Resztę portretu dokończymy jutro z Władkiem, a Władek marnego ucha nie potrafi w odpowiednim miejscu ustawić. Też mi malarz. Albo ten Rysiek Taran...

Prawdę mówiąc to ten portret przyśnił mi się nawet w nocy. Rysiek z Władkiem szorowali po nim papurami — uśmiechając się z zadowolenia. Poderwałem się na pościeli i pomyślałem. „Musieliby nie mieć sumienia, żeby kicz machnąć z tak pięknej roboty... I bądź co bądź, toż to przecież nie byle kto. Jeszcze gotowi skrócić mu wąsy, lub poszerzyć brodę, a zamiast groszków w krawacie nasmarować jakieś esy floresy i pozostawić kamizelkę z oderwanym guzikiem..."

Nie dziwota więc, że nazajutrz rankiem, zamiast do kościoła jak nam przykazywał majster — ja prosto do Tarana, bo wydawało mi się, że zamiast tego portretu, ujrzę...

Wleciałem bez pukania. Kobieta jak zwykle przy kuchni, a Taran z gazetą w łóżku.

— „Matejko" — zawołał uradowany, wyskakując w gaciach z pościeli.

— Wykończony? — zapytałem łapiąc oddech.

— Niby portret?

— Portret.

— Skądże. Władek powiada, że po tobie szkoda mrugać, nie da rady, a ja — szkoda gadać — odpowiedział machając ręką.

Odetchnąłem więc i usiadłem na pobrzeżu łóżka.

— W takim razie — zaproponowałem — uprzątnij talerze i obrus ze stołu, a ja dokończę tego człowieka, który sam jeden obalił cara...

Powiedziałem, a mój Rysiek paruje już do szafy, wyciąga rulon, rozwija, przypina do stołu, ja cap za gumkę i ołówki i jakby mi kto obiecał najcięższe pieniądze — szu, szu, szu po tym zaczętym portrecie.

Machałem, dmuchałem, cieniowałem, odmierzałem, a Taran temperował tylko ołówki, przyglądał się i wzdychał.

— Niech cię nie znam. „Matejko". On już ład niejszy jak na gazecie, a krawat w groszki odstaje mu od koszuli, że można wziąć w rękę.

Około południa portret został ukończony. Byłem dumny, zadowolony. Bo proszę — nędzny wycineczek z gazety, a tu popiersie na cały stół, i to jakie jeszcze...

— Pojutrze, ten twój portret — powiedział Taran — obejrzą tysiące...

— Jakie tysiące? — zapytałem zdumiony i ucieszony.

— No robotnicy, manifestujący na Wodniaku, bo za dwa dni święto pracy, Pierwszy Maja, i ja z Sokalą na czele pochodu poniesiemy ten portret przybity na dykcie do drzewca. Ale ten portret nie będzie wisiał nieruchomo, o nie. On będzie wznosił się jak żywy i obracał na wszystkie strony świata, a za nim tłumy, pieśni, okrzyki, orkiestry, sztandary, transparenty... I co ty na to, „Matejko"?...

Cały poniedziałek, prawdę mówiąc, przebąblowałem w robocie. Obijałem się tylko po kątach ze szpachelką, gipsując pęknięcia i nierówności ścian i od czasu do czasu przykładałem dłoń do czoła, udając, że głowa mnie boli, a w duchu modliłem się gorąco, żeby czasem broń Boże we wtorek nie padał deszcz i nie dmuchało. Bo jak by portret nasiąkł — to rany Boskie... Nie, nie. W to święto musi być pogoda. Tej nocy sen miałem spokojny, ale za to już wczesnym rankiem wyskoczyłem z betów i po opchnięciu śniadania, które przygotowała mi żona, zamiast do roboty — ja dawaj czym prędzej do Tarana. Nie zastałem go jednak, bo Rysiek z Władkiem, jak oświadczyła Taranowa, wyszli przed chwilą z transparentem na Wodniak.

Był słoneczny, majowy dzień. Ćwierkały radośnie wróble w pobliskim ogrodzie, z którego niósł się zapach rozkwitających drzew. Liczne grupy ludzi maszerowały już w kierunku Wodniaka, a ja wraz z nimi, ciekawy jak też ten portret będzie wyglądał na tle tłumu w pochodzie. Bo według mnie i Tarana, to ten portret odrobiony był na sto dwa.

Na szerokim placu wrzały jak morze nieprzeliczone tłumy śpieszących tu z różnych stron miasta. Po pewnym czasie na wzniesionej trybunie zaczął potężnym głosem przemawiać mężczyzna, potrząsając od czasu do czasu gęstą jasną czupryną. Wreszcie tłumy zaczęły się szeregować, rozwijać sztandary, transparenty i wznosić do góry portrety przywódców ludu. Rozglądałem się z niepokojem dookoła, aż wreszcie ujrzałem, jak nasz portret wzniósł się ponad tłumy, wyraźny, dokładny i większy jak inne chyboczące się w czasie pochodu.

Już miałem zawrócić do domu, gdy nagle potężna grupa luźno maszerujących ogarnęła mnie i nie wiadomo kiedy znalazłem się naraz w maszerującym szeregu.

Wznoszono okrzyki i śpiewano pieśni, a ja nic tylko oczami na naszą dyktę unoszącą się przede mną nad tłumami i razem z tym tłumem te swoje „la, la, la, la, la" — bo nie znałem słów, ani żadnej melodii śpiewanych pieśni. Bo jak maszerujące szeregi potężnymi głosami: „A kolor jego jest..." to ja z nimi — la, la, la, la — „bo na nim..." — la, la, la, la, la... „bo na nim" — la, la, la, la, la.

A kiedy pochód dosięgnął Pietryny i maszerujące szeregi zaczęły z Głównej skręcać w stronę placu Wolności, wyskoczyłem z szeregu na chodnik i dawaj nura w bramę, bo wydawało mi się, że widziałem kilka znajomych twarzy z naszej dzielnicy, cholera.

Prawdę mówiąc zacząłem żałować nieprzemyślanego wyskoku, bo to robota, majster, a nie wiadomo która już godzina... Okrężnymi ulicami, obstawionymi przez konną policję wróciłem zmęczony do domu i zaraz w bety. Podobno — jak mówiła mi rankiem żona, chrapałem twardo, marudziłem i w czasie snu nuciłem jakieś melodie.

W każdym razie, na drugi dzień rano, już o godzinie siódmej zjawiłem się u majstra.

Siedział przy stole zamyślony — jak by czekał na mnie. A gdy milczący stałem przy drzwiach, majster po namyśle, cieniutko...

— Pewnie się pan Leoś wczoraj ululał, co? Ale ja milczałem.

— No, jak, ululał, nie ululał?

Ale ja milczałem.

— A może był chory? Główka, wątróbka? Lecz ja dalej stoję i nic.

— No, jak, panie Leoś, zaniemówiłeś pan? A szkoda, bo usłyszelibyśmy coś o tych wczorajszych „preczach" i „niech żyjach". Co? A ja ciągle myślałem, że z pana porządny człowiek, co ja mówię, chrześcijanin, katolik... A pan, co panie Leosiu? W buntowniczych pochodach pieśni wywrotowe wyśpiewujesz... i z tą swoją krawatką...

— Panie majster, panie majster — przerwałem. — Prawda, szczera prawda. Maszerowałem wczoraj w pochodzie i pokrzykiwałem, ale z tym śpiewaniem to lipa, bo ja tylko w kółko razem z nimi te swoje la, la, la, la, la. Prawdę mówię, przysięgam, nic tylko te la, la, la, panie majster.

— La, la, la — powiadasz pan?

— Tak, tylko te la...

— Ale przecież wiadomo panie Leoś, że te pańskie la, la, to nie była żadna pieśń do św. Anny. Jak pan myślisz?

— Panie maj...

— Cii... Powiem ci tylko tyle, panie Leosiu, że nie chcę przez ciebie stracić zamówień. A wiedz, że właśnie wczoraj zawarłem z proboszczem umowę na pomalowanie sali kościelnego chóru „Lutnia". Więc jak? Mam przez pana, panie Leoś, stracić robotę? I żeby mi wielebny rzucił może w oczy, że to nie żaden zakład malarski, ale jaczejka bolszewicka. A co powiedzą pobożni parafianie w naszej dzielnicy, którym odnawiamy mieszkania? A właściciele posesji i sklepów? No, jak pan sądzisz, panie Leosiu? Więc ja powiadam panu uczciwie. Połóż pan ten strychcjerek co trzymasz w ręku na parapecie i pożegnaj pan swego majstra Pluskotę. I wiesz co ci jeszcze powiem, panie Leoś? Majster Borucki z Milionowej potrzebuje pomocnika, bo jego czeladnik w Kochanówce. Radzę więc z serca, wal pan do niego. Zrozumiano?

Pomyślałem przez chwilę — majster ma rację, więc położyłem strychcjerek na parapecie okna, zdreptałem czym prędzej po schodach na ulicę i dawaj na Milionową do tego majstra Boruckiego.

(Z tomu opowiadań pt. „Dzielnica plebejuszów". Wyd. Łódzkie).

Fot. B. Karewicz

TADEUSZ GICGIER

Łódzkie poema

Łodzi, ojczyzno moja, ty jesteś jak zdrowie,
Dziś piękność twą w całej ozdobie
widzę, bo tęsknię po tobie.
Do kraju tego, gdzie kruszynę chleba
trochę odrósłszy — podnosiłem z ziemi,
a gdym patykiem w owej ziemi grzebał,
to mi się otwierała złożami swoimi
jak stara księga.
Lecz aby z niej czytać,
wiele lat było potrzeba.

*

Tam panicz młody, którego włościami
są zaśmiecone podmiejskie ugory,
biegnie ulicą, co kocimi łbami
pobrukowana — biegnie do tej pory,
nieodmieniony, zatrzymany w czasie,
a tak ruchliwy jak igła w kompasie.

*

Nocą, gdy chmury pruje księżyc w nowiu
podobny łódce — ty przypływasz, Łodzi,
i wtedy pachną mi lipy na Zdrowiu,
i twoje słońce po mej skórze chodzi,
mulisty stawik, dla ciała ochłoda,
kajak, w kajaku tym dziewczyna młoda.

*

Wtem mgły powstają znad stawu jak płachty
i zakrywają obraz — próżno ścigać.
Więc się ocykam z owej wspomnień wachty,
i patrzę w ciemność, ale nic nie widać.
Stopa o zimną wspiera się podłogę.
Cóż to za izba? Ja spać w niej nie mogę.

*

Wczoraj, gdzieś w obcym mieście zabłąkany,
które jak płaszczem okryło się śniegiem —
dym zobaczyłem, co niebo haftował
twym czarnym ściegiem.
Żem go na twoim często widział niebie —
tęsknię do ciebie.

1969.

LUDZIE XXV-lecia

JAN HUSZCZA

Jan Huszcza należy do grona pisarzy uprawiających wiele gatunków literackich. W jego dorobku znajdujemy poezje, nowele, powieści, satyry (prozą i wierszem), a także obfitą publicystykę. Nie sposób byłoby w obrębie jednego artykułu omówić całokształt twórczości pisarza. Przeto będziemy musieli ograniczyć się do zasygnalizowania ważniejszych zjawisk, jakie zdołaliśmy uchwycić w czasie analizy jego dzieł.

Huszcza debiutował w roku 1938 tomem wierszy — „Ballada o podróżnych", wydanym w Wilnie. Należał on wówczas do kręgu lewicowej inteligencji, co znalazło wyraz w jego współpracy z dwutygodnikiem „Po prostu". Nie pozostało to bez znaczenia dla całej jego twórczości.

Już w tym pierwszym tomiku Jan Huszcza zaprezentował wiersze, które świadczyły o dojrzałości artystycznej autora. O wierszach tych można powiedzieć, że były nowatorskie w sposobie obrazowania, składni, metaforyce, ale autor ich nie był bynajmniej wierny nakazom awangardy krakowskiej, wydaje się, że bliższe mu były doświadczenia awangardy wileńskiej. Bowiem od rzucał on zdecydowanie urzeczenie cywilizacją urbanistyczną, byłoby to przeciw jego autentyzmowi — syna kresów, któremu do tekstów poetyckich mógł zaglądać raczej koń, niż ramię dźwigu wznoszącego wielkomiejskie gmachy. Zadecydowała o tym nie tylko topografia, doświadczenie osobiste, lecz przede wszystkim — historyczne. Kresy były przecież miejscem ścierania się okrutnych racji historycznych. Stąd tragiczna nuta tej poezji, dominujący w niej nastrój grozy, jej katastrofizm. Katastrofizm tych wierszy miał zresztą odwołanie nie tylko historyczne, lecz także egzystencjalne. Uwydatniło się to szczególnie w takich wierszach, jak: „Wiosny witać promykami uśmiechów...", „Elegia", „Wieczory z ojcem", czy tytułowa „Ballada o podróżnych".

„Pamiętnik liryczny", zawierający wiersze z lat 1940—1944 powstawał w specyficznych warunkach. Oto poeta znalazł się w dalekim Kazachstanie bez nadziei na szybki powrót do kraju. Wracał zaś do Polski w mundurze oficera I Armii Wojska Polskiego. Ale możliwość powrotu otworzyła się dla niego dopiero po latach. Nic więc dziwnego, że w pierwszej części „Pamiętnika" znajdujemy wiersze pełne nostalgii.

Ale nawet w tamtych najcięższych chwilach Jan Huszcza daje wyraz wiary w człowieka, pełnię humanizmu odnajdujemy w gorzkim, ale optymistycznym przecież „Wierszu o planecie ziemskiej".

Do tematyki wojennej, patriotycznej, do kraju młodości będzie Huszcza wracał w następnych książkach poetyckich. Ale obok tego pojawią się wiersze związane z nowym krajobrazem, w którym wypadło mu żyć współcześnie. W wierszach tych dojdzie do głosu swoisty humor poetycki Jana Huszczy, ujawni się skłonność do groteski. W „Rankach i wieczorach", „Miłości dniu powszednim", „Kwileniu czajek", „Zieleni i rdzy", a najpełniej w ostatnim tomie wierszy noszącym tytuł „Stara pijalnia" znajdziemy też coraz bardziej ekspono waną problematykę egzystencjalną. Jednakże refleksja podporządkowana jest tu poezji w tym sensie, że poeta rzadko kiedy posługuje się dyskursem, częściej natomiast eksponuje ją przy pomocy środków poetyckich. Ironia, ba! sarkazm wielu wierszy został wyeksponowany cieniuteńko, wynika niekiedy z żywiołu lirycznego.

Odwoływanie się poety do własnej przeszłości, sięganie w głąb czasu, częste nawroty do krajobrazów dzieciństwa nie jest jednoznaczne w przypadku Jana Huszczy z sentymentalizmem, choć niektórzy gotowi posądzać go i o to. Boć nie nakazy sentymentalne za tym stoją. Autor nie ucieka w przeszłość, nie kryje się w nią przed współczesnością, lecz konfrontuje zjawiska w czasie. Dokonuje się to przede wszystkim w tych wierszach, w których autor eksponuje problematykę moralną. I o tym aspekcie czytelnikowi jego wierszy nigdy nie wolno zapominać, zwłaszcza zaś — krytykowi.

Jan Huszcza obok wierszy tworzył od najmłodszych lat utwory satyryczne i humoreski. Pisywał więc wiersze, fraszki, opowiadania i felietony. Współpracował z wielomą poczytnymi periodykami i to sprawiło, że wielu jego czytelników utrzymywało się w przekonaniu, iż jest on przede wszystkim satyrykiem. Satyra Jana Huszczy to także kawał naszych powojennych dziejów. W „Łbem o ścianę" znajdziemy świetne, odważnie zarysowane obrazy pierwszych lat po wojnie. Oczywiście obrazów w sensie kary katury. Podobnie w „Impertynencjach" wydanych w roku 1947. Później satyra Jana Huszczy także będzie wiernie towarzyszyć rzeczywistości. Obok humoresek i felietonów satyrycznych ukazują się zbiory wierszy i fraszek. Zarówno w wierszach, jak i fraszkach poeta nawiązuje do tradycji satyry realistycznej, racjonalistycznej, często posługuje się dość łatwym rymem, stara się zazwyczaj mocno akcentować morał. Niekiedy pozwala sobie również na groteskę i te teksty chętniej przyswaja współczesny czytelnik. Odmienny rodzaj humoru prezentuje nam autor w „Utworach wybranych Kaliksta Łasiczki". Tu dominuje przede wszystkim pastisz.

W satyrach prozą znajdziemy wiele znakomitych dialogów, zabawnych sytuacji, zwięzłość opisów. Najważniejszą jednak cechą zarówno opowiadań, jak i felietonów, a także powieści „Miasteczko nad Olszanką" jest to, że autor uderza celnie, bo dobiera najbardziej istotne tematy, zajmuje się problemami istotnie ważkimi. Rzadko kiedy zabawiają go sprawy marginesowe naszego życia. Wiąże się to rzecz prosta ze sprawą odwagi autora. Sądząc po lekturach jego utworów satyrycznych musiał się chyba niejednemu porządnie narazić. Niech więc czytelnik przyjmie z przymrużeniem oka wyznanie autora: „Humor jest rozsądkiem zbyt lirycznej wyobraźni".

Jan Huszcza — prozaik miał za sobą wieloletnią praktykę poetycką, co zaważyło w sposób zasadniczy na kształcie jego tekstów pisanych prozą. Mają one charakter poetycki, opowiadania czy powieści zbudowane są z tej samej materii, składa się na nie ten sam żywioł. Związki prozy Jana Huszczy z poezją nie polegają na jej rozpoetyzowaniu, na sięganiu po środki wyrazu ze starej poetyckiej rekwizytorni. W prozie Jan Huszcza jest równie oszczędny, jak w poezji — często surowej, posługującej się najprostszymi środkami wyrazu w sposób funkcjonalny. W niektórych opowiadaniach autor nie przywiązuje większej wagi do fabuły, do opisu wydarzeń, nie penetruje też psychiki swych bohaterów, lecz tworzy wizję, w której wydarzenia, losy bohaterów wyważone są tak, aby czytelnik wespół z autorem — mogli razem zagłębić się w refleksję, wspólnie przeżyć doświadczenie egzystencjonalne bohatera.

Bohaterów prozy Jana Huszczy już znamy, są z tego samego kręgu co bohater liryczny jego wierszy. Wędrówka w czasie i przestrzeni prowadzi nas znów do kraju młodości poety. Jest to konieczność, tylko na tych tropach może on potwierdzić autentyczność swojej problematyki. Jest to jednak znów proza na wskroś współczesna, do przeszłości, do doświadczenia losu musi się odwoływać nie w celu mitologizowania tej przeszłości, lecz konfrontowania jej ze współczesnością. Celnie uchwycił to Mirosław Ostoja-Ochocki: „...**Opowiadania Huszczy mają charakter ustawicznie ponawianych powrotów do rodzinnej okolicy, każde z nich jest powrotem w dawne strony, powrotem z jakiegoś miejsca nowej egzystencji bohaterów i zarazem z jakiegoś nowego punktu doświadczeń tej prozy, która z książki na książkę rozwija się i komplikuje, w przestrzeni między teraźniejszością, a przeszłością, między rzeczywistością a jej tłem, na modłę rozwijającej się egzystencji ludzi, których kreuje. Pisarz jest jednym z nich**".

Gwoli sprawiedliwości trzeba przyznać również, że topografia tej prozy jest zmienna, urozmaicona, nie ma tu monotonii ciągłych nawrotów do kraju dzieciństwa. Akcja wielu utworów toczy się na Wileńszczyźnie. Ale wraz z bohaterami autor przenosi nas w egzotyczne terytoria Kazachstanu, to znów nad Okę, gdzie formowały się oddziały I Armii Wojska Polskiego, potem na ziemie zachodnie i północne naszego kraju, czy wreszcie do Łodzi, która jest miejscem zamieszkania autora od pierwszych lat powojennych. Autor, podobnie jak w poezji, tak i w prozie — w opowiadaniach, czy powieściach przedstawia losy bohaterów nie w oderwaniu od rzeczywistości historycznej, lecz w ścisłym z nią kontakcie. Dlatego właśnie tak nas ona urzeka, że ciągle krzyżuje w sobie losy jednostki z losami narodu. Refleksja nad losem jednostki nabiera w tym kontekście innych wymiarów.

Jan Huszcza sięga głębiej w przeszłość, by pokazać losy Polaków na przestrzeni XIX i XX wieku. Obok tragicznego zesłańca z opowiadania „Sęp Sybiru", który poddany ciśnieniom terroru w ciągu wielu lat nie znajduje w sobie siły, by wrócić do kraju po odbyciu zsyłki, znajdujemy bohatera współczesnego, który mógłby być potomkiem Antoniego Dowmonta — Pawła Stiepanowicza z opowiadania „Pierwszy i drugi powrót". Paweł Stiepanowicz jest oficerem przeniesionym z Armii Czerwonej do Wojska Polskiego. Polskę zna tylko z opowieści rodziców, pragnie ze wszystkich sił służyć odzyskiwanej ojczyźnie, wynika to ze wszystkich jego poczynań. Ale los jest okrutny — Paweł ginie w walce z hitlerowcami nad Wisłą.

Wszystkie opowiadania Jana Huszczy przenika atmosfera polskości, tragizmu naszych dziejów na przestrzeni ostatnich dziesiątków lat. Jest to cecha określająca odrębność tej prozy na tle dorobku polskiej literatury współczesnej.

Trzeba jednak koniecznie podkreślić, że bohater jakiego kreuje Jan Huszcza, kształtowany był przez różne okoliczności nie zawsze historyczne. Poszukiwanie autentyczności bohatera przenosi nas także w inne regiony. Jego stawanie się można zaobserwować w opowiadaniu lirycznym „Pied a terre", gdzie do głosu dochodzą racje moralne o innym wymiarze. Ale trzeba podkreślić, że postacie prozy Jana Huszczy to ludzie zawsze obdarzeni charakterem i nigdy schematyczni w subtelnym rysunku. Za brak charakteru, czy może słabość tylko — bohater powieści „Telefon więcej nie zadzwoni" musi płacić. Wszystko co przeżył w szpitalu, na oddziale odwykowym i to co mu zostało po przygodzie z Kamą w nim samym jest już właściwie nie do zatarcia.

Tak więc i w prozie Jana Huszczy, podobnie jak w poezji nie zależnie od okoliczności w jakie uwikłany jest bohater — problematyka moralna ujawnia się w całej złożoności i różnych aspektach.

Jan Huszcza — poeta, prozaik, satyryk obdarzył nas w ciągu ostatnich trzydziestu kilku lat książkami niezwykłej urody, oryginalnymi, znaczonymi autentyzmem osobowości pisarza, towarzyszącymi dziejom narodu w najtragiczniejszych dla niego momentach i najradośniejszych jednocześnie. Po dziś dzień autor daje nam nowe książki, w których objawia się pełnia jego zaangażowania społecznego, a jednocześnie pełne subtelnego uroku kreowanych przez niego bohaterów, osadzonych w urokliwym krajobrazie ojczystym.

JÓZEF HENRYK WIŚNIEWSKI

Benon Liberski — „Western" (olej)

ALINA KULIKÓWNA

Innymi oczyma

Przed paroma dniami zadzwonił do mnie kolega:

— Masz dziś trochę czasu?

— A o co chodzi?

— Moi gospodarze mają gościa z Argentyny. Wpadł tylko na jeden dzień. Przejazdem. Gospodarze to ludzie już mocno starsi, chcieliby mu pokazać miasto, ale pogoda nie najlepsza i czasu tak mało, więc chcę cię prosić, żebyś wsiadła w auto (a raczej w „Syrenę") i obwiozła trochę rodaka.

— Zrobione. Będę za kwadrans.

Argentyński gość, pan Jan, okazał się człowiekiem niezwykle miłym, skromnym, obdarzonym poczuciem humoru oraz życzliwym i mądrym spojrzeniem na świat. Wyjechał ze swojej podlubelskiej wsi do Buenos Aires jako chłopiec niespełna dwudziestoletni. Po skończeniu trzyklasowej szkoły wiejskiej, bez zawodu, nie znając języka, wyjechał w świat szukać szczęścia.

Czy je znalazł?

Całe życie pracował ciężko. Początkowo przy budowie linii kolejowej, potem w ogrodach, z których słynął i między innymi żyje Argentyna, a od szeregu lat aż do emerytury, którą uzyskał w ubiegłym roku pracował w koncernie naftowym. Ożenił się z Polką. Obydwoje, a także ich dzieci, czują się Polakami, ale w domu rozmawiają po hiszpańsku. Podobno żona pana Jana twierdzi, że „tak jest jakoś łatwiej". Wyjechała z kraju będąc piętnastoletnią dziewczynką. Przez wszystkie te lata marzyli, żeby odwiedzić ojczyznę, a szczególnie pan Jan, który zostawił w rodzinnej wsi kilku braci. Ale taka podróż to olbrzymi koszt i trzeba było przepracować całe życie, żeby sobie na nią pozwolić, więc teraz kiedy już jest tutaj chciałby zobaczyć i morze, i góry, i stary Kraków, i nową Warszawę, i Łódź!

Utarło się przekonanie, że Łódź to miasto brzydkie, bez wdzięku, że właściwie nie ma się czym chwalić. Zaczęłam się zastanawiać, jak pokazać je z jak najlepszej strony i to w ciągu mniej więcej dwóch godzin, którymi dysponowaliśmy. Zaczęliśmy zwiedzanie od placu Wolności do placu Niepodległości przez słynną i charakterystyczną Piotrkowską. Później do ronda Titowa, gdzie jest już nowocześnie i przestronnie. Gdzie zawsze jest tyle kwiatów, a na środku olbrzymiego trawnika szumią stare drzewa. Przejechaliśmy ulicami Nowego Rokicia, którego nowe bloki, pawilony i wieżowce otoczone ozdobnymi drzewami i właśnie teraz, gdy kwitną krzewy róż, przedstawiają się szczególnie pięknie. Pojechaliśmy także nad stawy, zwane stawami Stefańskiego. I tam było czyściutko i ślicznie, a ponieważ przestał padać deszcz, poszliśmy aleją na krótki spacer. Pan Jan podniósł z ziemi zieloną kulkę, mały kolczasty kasztanek. Położył go na dłoni i powiedział: „Mój Boże, nie widziałem kasztanów 41 lat. Jak miło widzieć je znowu". I w tym momencie poczułam jakby dotknięcie tęsknoty.

Wróciliśmy do miasta przez al. Politechniki. Jeszcze trzeba się było pochwalić po drodze elektrociepłownią, parkiem, halą sportową i — nie po drodze — naszym Teatrem Wielkim, a w kawiarni „Teatralnej" polskim winiakiem i znakomitą mrożoną kawą.

Siedząc w wygodnych fotelach patrzyliśmy przez szyby kawiarni na mokry jeszcze asfalt rozległego placu, w którym odbijało się różowiejące niebo.

To nieprawda, że Łódź jest brzydka. Przeciwnie. Jej urodę zobaczyłam oczyma naszego gościa.

JERZY DARNAL

ZMIERZCH KOMINÓW

Kryterium miejsca zamieszkania autora nie ma na pewno zadnego znaczenia wartościującego przy ocenie dzieł literackich. Zwłaszcza tych, które powstają w obrębie jednej kultury, w jednym czasie i z tej samej przyczyny sprawczej, a jest nią przecież stosunek pisarza do otaczającego go świata. Nie znaczy to oczywiście, że adres zamieszkania jest zupełnie nieistotny. Ale jeśli zabieram się do napisania artykułu o literaturze łódzkiej w minionym ćwierćwieczu, to nie dlatego, że przejąłem się naiwnymi sądami obiegowymi pewnych warszawskich czy krakowskich cmokierów, którzy patrzą na rozwój środowisk twórczych poza tradycyjnymi centrami kultury, jak na zjawisko egzotyczne, samo w sobie nawet pożyteczne, nie warte jednak głębszego zainteresowania. Bo w rzeczywistości nie chodzi tu o zjawisko ani egzotyczne, ani wyjątkowe. **Awans kulturalny wszystkich bez wyjątku ośrodków naszego kraju, który towarzyszy gigantycznemu procesowi rozwoju gospodarczego stanowi integralną część rewolucji socjalistycznej w Polsce.** W przemianach społeczno-politycznych, które zapoczątkował lipcowy Manifest PKWN, znaczna rola przypadła właśnie literaturze jako współodpowiedzialnej za ukształtowanie i wychowanie człowieka nowej epoki. Całej bez wyjątku literaturze, bez podziału na regiony. I choć wyodrębnianie takie jest dosyć niezręczne, warto mimo wszystko zastanowić się, jaka cząstka ogólnonarodowych przeobrażeń kulturalnych jest zasługą łódzkiego środowiska literackiego.

Literatura towarzyszyła życiu Łodzi niemal od początku narodzin przemysłu w tym mieście. Już w połowie XIX wieku zjechał tu poeta Wiktor Dłużniewski, który otwiera długą listę nazwisk ludzi pióra związanych z ogromnym ośrodkiem pracy. Trudno pominąć innego poetę, Artura Gliszczyńskiego, który po osiedleniu się w Łodzi, rozwinął żywą działalność kulturalną i literacką. Temat miasta-molocha przyciągał również prozaików. Zygmunt Bartkiewicz, autor głośnej niegdyś powieści „Złe miasto", której tytuł stał się na wiele lat synonimem przemysłowej Łodzi, przełamał dotychczasowy prymat poetów. Późniejszy laureat nagrody Nobla, Władysław Reymont, poświęci jeden ze swoich utworów, powieść „Ziemia Obiecana", życiu powstającego miasta.

Jest to, zważywszy na młodość przemysłowej Łodzi, już całkiem przyzwoity literacki rodowód. A przecież trudno pominąć debiutującego tu i związanego silnymi uczuciowymi więzami Juliana Tuwima. Trudno także nie wspomnieć o krótkotrwałej wprawdzie, ale znaczącej działalności redaktorskiej Pawła Hulki-Laskowskiego w pierwszych latach niepodległego bytu państwowego Polski. Był to już okres kończący dotychczasowy literacki „tranzyt" w przemysłowym mieście. Po raz pierwszy w swojej historii Łódź wydaje twórców zrodzonych na swoich brukach i związanych z nią silnymi więzami. Poeci lewicy Antoni Kasprowicz, Grzegorz Timofiejew i Marian Piechal zapoczątkowali tradycję autentycznego, w pełni już własnego środowiska literackiego miasta. A przecież zdobywali tu szlify literackie tacy pisarze jak Mieczysław Jastrun, Witold Wandurski, Jerzy Zawieyski czy Świa topełk Karpiński.

Ale mimo niewątpliwych osiągnięć kulturalnych Łodzi już w okresie międzywojennym (przypomnijmy, że laureatami nagrody literackiej miasta zostali twórcy tej miary, co Aleksander Świętochowski, Julian Tuwim, Zofia Nałkowska, Aleksander Brueckner), o w pełni ukształtowanym środowisku literackim można mówić dopiero w okresie powojennym, z chwilą ustanowienia nowej rzeczywistości społecznej. Na wiele lat Łódź stała się przecież faktyczną stolicą kulturalną Polski, goszcząc w swoich murach najwybitniejszych twórców narodowej literatury. Oczywiście tego „złotego okresu" nie można demonizować ani przeceniać. Z perspektywy lat widać coraz wyraźniej, że był to w dziejach przemysłowego miasta barwny, ale wyjątkowy epizod, od samego początku pomyślany jako zjawisko przejściowe. Ale jego znaczenie jest w końcu nie tylko sentymentalne. Dlatego też nie ma sensu wymieniać długiej, niekończącej się listy nazwisk ludzi, którzy znowu „tranzytem" tylko przewinęli się przez Łódź, ani jeszcze dłuższego rejestru książek, z których niektóre weszły na trwałe do literatury polskiej, a które wydano wtedy w Łodzi. Samo miasto nie znalazło w nich zresztą odbicia. Książki łódzkie zrodziły się dopiero później, kiedy odpłynęła już potężna fala przybyszów, którzy od początku traktowali swój pobyt tutaj jako tymczasowy. Bo epizod ten, zakończony powszechnym niemal exodusem, rozbudził kulturalne aspiracje miasta, pozostawił po sobie nie w pełni zaspokojoną do dziś ambicję artystycznej Mekki, twórczego centrum Polski pierwszej wielkości.

Ale epizod „kulturalnej stolicy" opóźnił także o parę lat rozwój rodzimych środowisk twórczych. Debiutanci porwani przez wszechpotężną falę odpływu, zrywając związki z miastem, które dało im literackie ostrogi, przenieśli się do Warszawy. Na łódzkich brukach, jakże nagle opustoszałych, pozostali tylko ci, którzy już nie jeden raz dawali dowody swojej wierności: Piechal, Kasprowicz, Timofiejew. Powszechnemu zjawisku odjazdów oparli się także Jan Huszcza i Władysław Rymkiewicz, którzy uznali się za łodzian z wyboru. Wkrótce jednak miasto wzbogaciło się o nowe nazwiska pisarzy, na razie z importu. Oto osiedlili się tutaj Stanisław Czernik i Jan Koprowski.

Dziś łódzki oddział ZLP stanowi trzecie pod względem wielkości środowisko literackie w kraju, zrzeszając blisko 50 pisarzy. I jeśli przypomnieliśmy tu znane chyba na ogół fakty, to po to, aby uprzytomnić czytelnikowi, że środowisko to nie powstało automatycznie, że ma za sobą długą i skomplikowaną drogę rozwojową, że startowało niemal od zera. I że rozwijało się w sposób naturalny poprzez debiuty własnej, utalentowanej młodzieży literackiej. W Łodzi przecież stawiali pierwsze kroki powszechnie uznani dziś pisarze: Wiesław Jażdżyński, Jan Czarny, Tadeusz Chróścielewski, Tadeusz Papier, Wacław Biliński, Edward Szuster. W kilka lat później nastąpi kolejny rzut debiutów, wydadzą pierwsze swoje książki Jerzy Waleńczyk, Zbigniew Kosiński, Roman Łoboda, Jarosław Marek Rymkiewicz, Bernard Sztajnert i Zbigniew Nienacki. Jeszcze później nowa fala książek rozszerzy łódzkie środowisko pisarskie o nowe nazwiska: Marka Wawrzkiewicza, Konrada Frejdlicha, Mieczysława M. Szargana, Ewy Ostrowskiej, Honoraty Chróścielewskiej, Edwarda Kopczyńskiego.

Skala zainteresowań pisarzy zamieszkałych w Łodzi świadczy że środowisko literackie w tym przemysłowym mieście rozwija się w sposób prawidłowy. Pisarze łódzcy uprawiają z powodzeniem niemal wszystkie gatunki literackie. Obok poetów (miarą rangi poezji w Łodzi jest chyba fakt, że właśnie tutaj odbywają się corocznie festiwale poezji polskiej), działają prozaicy, dramaturgowie, eseiści, tłumacze. Miarą znaczenia tego środowiska w kraju może być także fakt, że przedstawiciel Łodzi pisarz Jan Koprowski zasiada w Prezydium Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich.

Na rozwój łódzkiego środowiska pisarskiego miał niewątpliwie korzystny wpływ rozrost bazy materialnej, przede wszystkim zaś stworzenie własnej oficyny wydawniczej. Wydawnictwo Łódzkie, nie izolując się bynajmniej od innych środowisk literackich kraju, roztacza poważny i mający kolosalne znaczenie mecenat nad twórczością pisarzy bezpośrednio związanych z łódzkim regionem. To właśnie ono umożliwiło debiuty w ostatnich latach najmłodszym i zainspirowało wielu uznanych pisarzy (dość wspomnieć, że lauretami konkursu literackiego Wydawnictwa Łódzkiego zostali przed laty Leon Gomolicki i Wanda Karczewska). Rezultaty nie kazały na siebie zbyt długo czekać. Wbrew dość rozpowszechnionemu mniemaniu lista książek podejmujących tematykę ziemi łódzkiej jest naprawdę obszerna, że swoje związki z regionem podkreślili twórczym aktem tacy pisarze jak: Piechal, Kasprowicz, Timofiejew, Jażdżyński, Sztajnert, Waleńczyk, Papier, Chróścielewski, Gomolicki, Nienacki, Wł. Rymkiewicz i wielu innych.

Dowodem prężności środowiska literackiego są także ukazujące się już dwunasty rok „Odgłosy" i posiadająca staż kilkuletni „Osnowa". Pierwsze periodyki literackie „Łódź Literacka" a później „Kronika" mimo udanego startu przestały wkrótce wychodzić, ale wieloletnia emisja „Odgłosów" świadczy, że środowisko literackie współpracuje zresztą ściśle z dziennikarzami, okrzepło przez te lata i ma już szczęśliwie okres prób i błędów za sobą. Trybuną łódzkich pisarzy jest także rozgłośnia Polskiego Radia popularyzująca, często zresztą na antenie ogólnopolskiej, rodzimą twórczość.

Silne związki pisarzy łódzkich z regionem, co jest najbardziej sprawdzalne poprzez książki o lokalnym kolorycie, choć wcale nie lokalnym znaczeniu, nie oznaczają uchylania się od problematyki ogólnokrajowej, podejmowania tematów, którymi żyje cały naród. I jeśli w tym zakresie mogą być miarodajne ogólnopolskie nagrody literackie, to trzeba stwierdzić, że łódzcy pisarze otrzymali ich w ostatnim czasie niemało, mimo silnej konkurencji twórców z innych ośrodków (Wiesław Jażdżyński np. jest laureatem I nagrody w ogólnopolskim konkursie na powieść, zaś Wacław Biliński dwukrotnie sięgnął po najwyższe trofeum). Zresztą karykaturalny obraz łódzkiego pisarza żyjącego wyłącznie w cieniu kominów z twarzą pomazaną sadzami od dawna należy do przeszłości. Nie tylko dlatego, że łodzianie coraz odważniej podejmują problematykę uniwersalną, przepojoną głęboko ludzkimi treściami. Zmienił się przecież sam obraz miasta, zniknął gdzieś cień ponurego molocha, który unosił się w przemysłowym pejzażu. Zniknęły bezpowrotnie biedachaty, walące się drewniaki, powstało drugie, inne miasto, powstały nowoczesne dzielnice nie różniące się od tych w Warszawie, Gdańsku czy Poznaniu. Rażące dysproporcje, kontrasty, tak charakterystyczne dla naszego kraju przed ćwierćwieczem gdzieś się zatarły, zginęły. Łódź jest normalnym, zwyczajnym miastem przemysłowym nowej Polski, a książki, które tu powstają są nieodłączną częścią składową współczesnej literatury polskiej. Bez tych książek literatura ta byłaby przecież jakaś okaleczona, niepełna. Bez poważnej części tych książek.

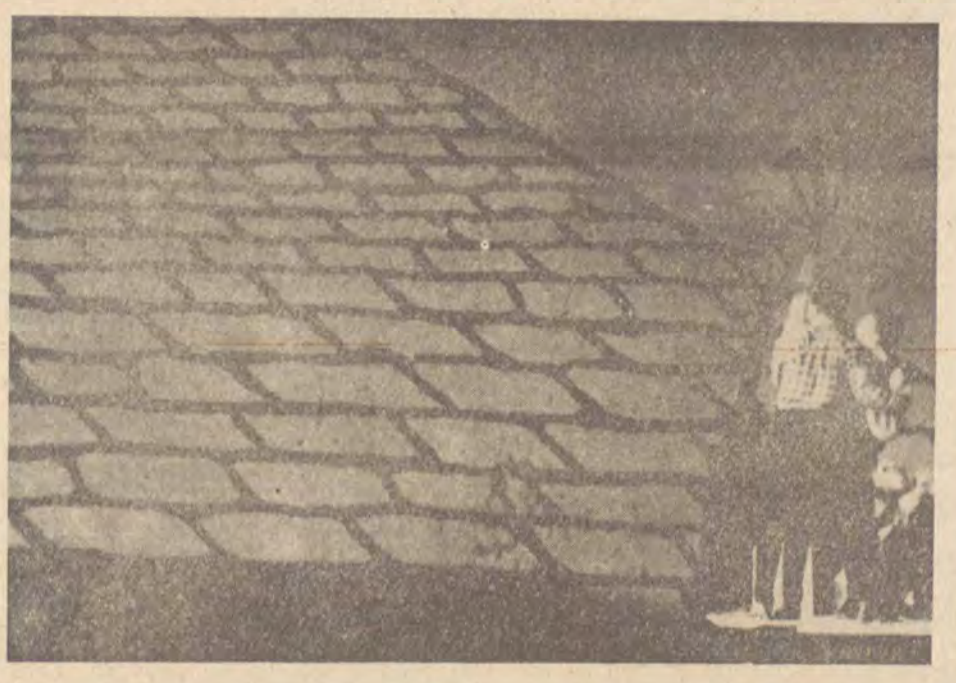

WŁADYSŁAW HUZIK

Człowiek na jezdni

1.

Godzina 22.30. Miasto o tej porze powoli układa się do snu. Wracają do zajezdni ostatnie tramwaje, ulice pustoszeją. Wyszedłem z domu tylko na chwilę, by kupić papierosy w pobliskiej kawiarni. Dochodziłem właśnie do skrzyżowania Nawrot i Piotrkowskiej, uniosłem głowę. Nagle...

Człowiek nawet nie krzyknął, wyrzucony w powietrze uderzeniem rozpędzonej masy żelastwa — okręcił się wokół własnej osi, uniósł w górę ramiona, osłaniając się przed sapiącym, czerwonym potworem autobusu. Ułamki sekundy ciszy — przerywanej tylko szurgotem ciała po asfalcie, przeraźliwy pisk hamulców dopiero teraz zatrzymującego się autobusu — i człowiek nieruchomieje pośrodku skrzyżowania. Wtedy zaczynają krzyczeć kobiety. Rozlega się terkotliwy dźwięk gwizdka. Ulicą, alarmując kolegów, biegnie milicjant. W tej samej prawie sekundzie do skrzyżowania podjeżdża motocykl, z którego zeskakują ludzie w mundurach. Pochylają się nad rannym.

2.

Wbiegam do „Akademickiej", telefon jest tuż obok. Gorączkowo przypominam sobie numer Pogotowia Ratunkowego, tak — zero dziewięć. Nie mogę trafić ze zdenerwowania w otwory tarczy. Wiem, że każda sekunda jest teraz droga, ale aparat nie łączy. Bezskutecznie walę w widełki. Cisza.

Po przeciwnej stronie skrzyżowania, w cukierni „Reneta", jest także telefon. Biegnę tam. Kopię mocno w zamknięte już szklane drzwi. Kiedy z zaplecza wychylają się przerażone twarze pracownic, wskazuję zbiegowisko poza sobą. To wystarczy, jedna z kobiet otwiera drzwi i prowadzi do telefonu. Nakręcam jeszcze raz: zero dziewięć...

— Wypadek? Na skrzyżowaniu Piotrkowskiej? — upewnia się głos w słuchawce. Już nam zgłoszono, dziękuję panu. — Ubiegł mnie zapewne ktoś z okolicznych mieszkańców, którzy pojawili się w oknach. To dobrze.

Kiedy wychodzę z cukierni rozlega się w dali wycie syreny, przybliżają się coraz bardziej rozbłyski reflektora alarmowego karetki. Lekarz z Pogotowia Ratunkowego jest już przy rannym.

Od chwili wypadku minęło najwyżej półtorej minuty, 30 sekund od powiadomienia telefonicznego. Jest godzina 22.34.

3.

Lekarz pogotowia klęczy na jezdni przy nieruchomym ciele. Człowiek jest nieprzytomny, nie oddycha, krwawi. Lekarz uciska mu klatkę piersiową, zastrzyk — i znowu masaż serca... Minuta, dwie...

Zbiegowisko, mimo spóźnionej pory, wzrasta ciągle. Zebrało się już ponad dwadzieścia osób. Ludzie stają na palcach, by lepiej widzieć, wychodzą na jezdnię, przepychają się. Jakaś okręcona chustką kobiecina koniecznie chce wiedzieć, „co się stało" — szarpie za rękaw sąsiada i terkocze natrętnie. Dwaj podpici młodzieńcy śmieją się głupkowato oglądając głębokie wgniecenie w masce autokaru... Przerażające doprawdy jest to nasze gapiostwo, bezczelne i nachalne nawet w obliczu śmierci...

Lekarz podnosi głowę i rozgląda się dookoła.

— Oddycha... — mówi.

Sanitariusze kładą rannego na nosze, trzaskają drzwiczki karetki. Jest godzina 22.50 — szesnaście minut trwała walka o życie człowieka. Nie wiadomo jeszcze, czy w pełni została wygrana, to dopiero początek. Karetka Pogotowia rusza wśród wycia syreny, znika za zakrętem.

4.

„Kronika wypadków" stanowi istotną pozycję w każdej gazecie. Drobne notatki — a każda oznacza czyjeś kalectwo lub śmierć. Statystyki wypadków są przerażające, zbliżamy się coraz bardziej do „światowej czołówki śmierci". W roku 1966 wydarzyło się w Polsce 25 tys. wypadków drogowych, w r. 1967 ok. 12 proc. więcej — o taki sam procent zwiększyła się ilość ludzi odwiezionych do szpitali i na cmentarz. Rok 1968 dla samego tylko woj. łódzkiego zamyka się bilansem: 1507 katastrof oraz przeszło 2 tys. kolizji bez poważniejszych szkód, rozbitych pojazdów — 908, ciężko rannych — 1409 osób, zabitych — 63 osoby. W jednym tylko tygodniu maja — gdy jeszcze nie rozpoczął się w pełni sezon weekendów — zginęły na drogach i szosach polskich 34 osoby, a 136 odniosło rany; zginęło pod kołami samochodów siedmioro dzieci, a dwadzieścia trzy osoby zostały kalekami na całe życie.

Symptomatyczne, iż coraz częściej sprawcami wypadków są kierowcy zawodowi, kierowcy ciężarówek, autobusów i motorniczowie tramwajów — a więc ludzie, zdawałoby się, szczególnie świadomi odpowiedzialności za życie ludzkie. Najczęstszą przyczyną katastrof jest nie przestrzeganie przepisów, zły stan techniczny pojazdów, nieostrożność i — pijaństwo.

Pijany był ten człowiek — ofiara wypadku. Właśnie zamykano „Świt", restaurację w której siedział od południa. Wyproszony przez personel wyszedł nie pewnym krokiem i zatoczył się na jezdnię. Ulice o tej porze są prawie zupełnie puste, kierowca spieszył się do domu — prowadził więc autokar stosunkowo szybko. Autobus linii 57 zjeżdżał już do garażu. Nie zdążył zahamować.

— Czy ten człowiek żyje? Czy ten człowiek będzie żył? — powtarza teraz kierowca roztrzęsionym głosem.

Książka bez tytułu

ANDRZEJ DZIERŻANOWSKI
LUCJUSZ WŁODKOWSKI

— Co czytasz? — pytał znajomy znajomego.

— Książkę — odparł zagadnięty.

— To widzę, ale jaką?

— Tytułu nie pamiętam.

— To opowiedz choć akcję.

— Kiedy widzisz, to jest taka książka, w której występują sami bohaterzy i nie ma żadnej akcji.

Anegdotę tę zdarza nam się przypominać zawsze, ilekroć ukazuje się nowa książka telefoniczna. Nie jest to wydarzenie częste, raz na dwa lata. Jest niezbędne. Jej ukazanie się budzi więcej wątpliwości niż radości.

Mamy oto przed sobą **„Spis telefonów, Miasto Łódź, 1969/1970"** wydany przez Wydawnictwo Komunikacji i Łączności w Warszawie w roku bieżącym. Książka ukazała się dosłownie w przeddzień uruchomienia nowej centrali telefonicznej w Łodzi i — jak twierdzą wtajemniczeni — drukowana była poza kolejnością, stąd niedokładności i niedbalstwo. Fakt ten jednak przeczy anegdocie i dowodzi, że w tej najpopularniejszej książce mimo pozorów toczy się nad wyraz żywa i interesująca akcja.

1.

Książka telefoniczna stanowi niebagatelne źródło wiedzy o mieście. Jest to jednak źródło ograniczone, bowiem podaje tylko te fakty z życia miasta, które usankcjonowano podłączeniem telefonu. I tak np. na tej podstawie można stwierdzić, że w Łodzi 47 barów ma telefony, ale nie znaczy to, że w mieście jest ich tylko tyle. Na to pytanie odpowiedzi trzeba poszukać w innych źródłach. Jeśli już jesteśmy przy sprawach gastronomii, to odnotujmy jeszcze, że telefony posiada 39 restauracji i 25 kawiarni. Telefon posiada też restauracja prywatna „Leśniczanka", co „Spis telefonów" odnotował osobnym zapisem.

Wertując dalej ten niepełny podręcznik życia miejskiego można dowiedzieć się, że jego autorzy wyodrębnili dwie grupy zawodowe — fryzjerów i lekarzy — i umieścili numery ich telefonów — nie bardzo wiadomo dlaczego — wśród instytucji. Można dowiedzieć się dalej, że w Łodzi 6 klasztorów ma telefony, że działa tu 36 różnych klubów, co znów nie jest taką prawdą, bo np. Klub Dziennikarza też działa, też ma telefon, a w spisie go nie ma. Stąd prosty wniosek, że takich nie ujawnionych klubów jest w mieście na pewno więcej. Nie tylko zresztą klubów.

Zawsze interesowały nas zasady, na podstawie których układa się spis telefonów. Jest np. w Łodzi **Fabryka Cukrów „Optima"** i jeśli chcecie tam zadzwonić to szukajcie jej pod **„O"**. Jest też **Łódzka Fabryka Maszyn Jedwabniczych „Majed"**, ale telefonów do niej trzeba szukać pod **„Ł"**. Podobnie numer telefonu **„Wifamy"** szukacie pod **„Widzewskie"**, bo pełna nazwa tej fabryki brzmi: **Widzewskie Zakłady Maszyn Włókienniczych „Wifama"**. Autorów „Spisu" nie obchodzi fakt, że w kraju i poza jego granicami bardziej znane są **„Majed"** i **„Wifama"** niż ich urzędowe uzupełnienie.

Nakręcając numer telefonu musimy się podporządkować Zarządzeniu Ministra Łączności nr 85, czyli przepisom zwanym ordynacją telefoniczną. Składa się ona z sześciu rozdziałów, podzielonych na 54 paragrafy. Obowiązuje w całym kraju. Jest również kodeksem dla 37 tys. abonentów telefonicznych zarejestrowanych w Łodzi. Wśród nich 18,9 tys. — to osoby prywatne, mające telefon u siebie w domu.

2.

Pierwszą łódzką centralę obsługiwaną ręcznie uruchomiono w 1902 r. Centralę automatyczną otrzymała Łódź w 1928 r. Miała ona pojemność 12,5 tys. numerów. Z centrali ręcznej przyłączono do niej około 8 tys. abonentów. Były to telefony zainstalowane w fabrykach i instytucjach. Posiadanie telefonu w domu było wówczas wypadkiem raczej rzadkim.

W 1945 r. z telefonów korzystało 5.430 abonentów .Z tego roku datuje się także pierwsza, powojenna książka telefoniczna. Od tego czasu przybyło nam telefonów, ale ich ilość jest zbyt mała w stosunku do potrzeb. **Rocznie instaluje się około 600 aparatów, a w Urzędzie Telefonów Miejscowych nadal leży 30 tysięcy podań. Oblicza się, że 50 tys. nowych telefonów zaspokoi w tej chwili wszystkie potrzeby.**

W całym **kraju** przeciętnie na 100 mieszkańców przypada 2,8 osób z telefonami. W **Łodzi — 4,9.** W **Warszawie** na 100 mieszkańców telefon posiada **11,9**, w **Koszalinie — 8, Olsztynie — 7,3, Szczecinie — 7,2, Gdańsku — 6,8.** W sytuacji podobnej do łódzkiej znajdują się mieszkańcy **Opola.** W bardziej korzystnej — obywatele miast powiatowych: **Radomia, Gdyni i Torunia.**

Ciekawe, że łodzianie mając nie wiele telefonów nie wykorzystują ich w pełni. Najczęściej posługują się telefonem mieszkańcy **Opola**, gdzie tzw. „stopień zajętości" central miejscowych wynosi **97,1**, w **Zielonej Górze — 91,4, Rzeszowie — 89,9, Szczecinie — 89,5, a w Warszawie — 87,4. W Łodzi wskaźnik ten wynosi 76,9.**

Na usługi telefoniczne wydajemy jednak sporo. Tak np. przeciętna opłata za jeden abonament telefoniczny wynosi **142,2 zł.** Przeciętny koszt jednej rozmowy międzymiastowej — **11,72 zł**, a każdy statystyczny Polak na usługi telefoniczne i telegraficzne w ubiegłym roku (nie rozgranicza się ich) wydał **115,1 zł.**

W Łodzi telefonujemy dzięki czterem centralom automatycznym **„Południe, „Północ", „Centrum A" i „Centrum B".** Do tej ostatniej centrali niedawno podłączono około 4 tys. abonentów mieszkających w Śródmieściu i numery ich telefonów rozpoczynają się od **„6".** Szóstkowicze mają tę przewagę nad innymi abonentami, że bez pośrednictwa centrali międzymiastowej mogą rozmawiać z Pabianicami i Zgierzem. W najbliższym czasie udogodnienie to otrzymają abonenci „czwórkowi".

W Łodzi jest jeszcze jedna centrala telefoniczna z numerem początkowym **„8".** Obsługuje ona jednak tylko kilkunastu abonentów. Jest to bowiem centrala modelowa, która znajduje się w fazie prób i eksperymentów. Została ona specjalnie zaprojektowana dla łódzkiej sieci telefonicznej, nie zaliczającej się jak wiadomo do specjalnie nowoczesnej. Po próbach, jeśli zda egzamin, będzie urządzeniem w Łodzi typowym. W aparatach z numerem początkowym „8" odzywa się od czasu do czasu... słowik. Sygnał telefonu zajętego do złudzenia przypomina trele słowicze.

Najwięcej aparatów telefonicznych mamy w Śródmieściu, zaś najmniej na Bałutach. Pod względem liczby telefonów najbardziej upośledzeni są mieszkańcy ulicy... Telefonicznej.

Dużym powodzeniem cieszą się usługi telefoniczne, jakie oferuje nam poczta, które chyba są jednak za skromne w stosunku do możliwości. Budzenie w ubiegłym roku zamawiało 181,6 tys. osób. Po różne informacje dotyczące nie tylko numerów telefonów dzwoniono pod 03 — 804 tys. razy. Bajek z morałem, mogącym się przydać również i dorosłym — jak ten z bajki o „Słoniu — referencie" który głośno kichnął i karierę sobie zwichnął" — słuchało 624 tys. osób. Do zegarynki telefonowano 9,5 mln razy.

A propos — w Łodzi jest 389 automatów telefonicznych i 193 kabiny wolnostojące.

3.

Taki jest obraz telefonicznej Łodzi. Nie chcemy się jednak ograniczyć tylko do jej statystycznego wyrazu. Popatrzmy na czarny przeważnie aparat, stojący na biurku czy domowym stoliku. Do czego służy i czego możemy się po nim spodziewać?

Zarówno ten urzędowy, jak i ten prywatny mają ułatwiać kontakty, przyspieszać porozumienie się ludzi czy instytucji. I tak jest rzeczywiście, ale w przeciwieństwie do innych krajów u nas nie ma w zasadzie różnicy między służbową a prywatną rolą telefonu, choć wywieszek „telefon tylko do użytku służbowego" nie brak.

Kursowała kiedyś anegdota, jak to pewien polityk na emeryturze składał drugiemu gratulacje.

— Skąd dzwonisz? — pyta awansowany, wysłuchawszy gratulacji i życzeń.

— Z automatu — odpowiada z goryczą w głosie emeryt.

Właśnie. Telefonowanie z automatu — tak rozpowszechnione w innych krajach, u nas stanowi rodzaj „gorszej" rozmowy. Nie bardzo wiadomo, dlaczego?

W Łodzi — tak przynajmniej — informuje „Spis telefonów" jest 7 postojów taksówek zaopatrzonych w telefony, ale — po pierwsze — nie jest to prawdą, a po drugie — przywołanie taksówki telefonicznie jest w naszym mieście — w przeciwieństwie np. do Poznania — zupełnie niemożliwe.

Trudno jest też załatwić telefonicznie wiele innych spraw. Np. nie można zarezerwować sobie przez telefon miejscówek w pociągu. Do pewnego czasu nie można było telefonicznie zamówić wizyty u lekarza. Nadal nie można zamówić telefonicznie stolika w restauracji czy kawiarni. Nie można zamówić za pośrednictwem telefonu obiadu, choćby mieszkało się w tym samym domu, co restauracja czy bar.

Człowiek zgłaszający się z jakąś sprawą przez telefon traktowany jest podejrzliwie. Ten po drugiej stronie telefonicznego kabla w każdym skłonny jest dopatrywać się żartownisia lub złośliwca. Nie przeczymy, zdarzają się żartownisie. Znamy nawet takich. Pewnego razu u naszego znajomego zadzwonił telefon.

— Czy to ty? — zapytał męski głos.

— Ja — odpowiedział zgodnie z prawdą nasz znajomy.

— Dostałeś gaśnice? — ciągnął głos.

— Dostałem — odpowiedział znajomy.

— To biorę wóz i lecę — poinformował głos.

— Bierz i leć — zgodził się jego rozmówca.

Nie wszystkich jednak trzymają się lepsze lub gorsze żarty. Czasem naprawdę chodzi o szybkie i skuteczne załatwienie sprawy i po to wynaleziono telefon.

W ciągu doby odbywamy około 280 tys. rozmów miejscowych. Liczba ta uzależniona jest nie tylko od pory roku, dnia tygodnia, godzin, ale nawet od pogody. Kiedy zapowiada się słoneczna niedziela, na sygnał w sobotnie południe trzeba czekać kilka minut. Dłużej niż normalnie oczekujemy na sygnał centrali w dniach rozpoczęcia szkolnych ferii zimowych czy wiosennych.

4.

Możemy przyznać się, że bardzo lubimy lekturę książki telefonicznej. Wiele można się z niej dowiedzieć, wiele nauczyć. Ot choćby i to, że w Łodzi mieszka kilku Chińczyków, a jeden z nich nosi nazwisko Pan Chung Heng. Lubimy czytać książkę telefoniczną dlatego jeszcze, że wbrew utartym poglądom, na jej kartach dzieje się wiele ciekawych rzeczy, trzeba tylko umieć je dostrzec. Do czego usilnie wszystkich zachęcamy.

POLKA z książkami

A. SILLITOE
PO RAZ PIĄTY

Zainteresowania **Alana** Sillitoe, młodego pisarza angielskiego, znanego nam z takich książek jak „Samotność długodystansowca", „Z soboty na niedzielę", „Córka szmaciarza", są ściśle określone. Penetrują one przede wszystkim środowisko robotnicze zwracając największą uwagę na problemy nurtujące młodzież. Sillitoe stara się określić miejsce młodego robotnika w jego własnej społeczności i jego miejsce w społeczeństwie angielskim. Nowa książka Sillitoe „Śmierć Williama Postersa" ukazuje dzieje młodego robotnika, Franka Dawleya, który dosłownie „wyrusza w świat" na poszukiwanie sensu własnego istnienia. Doprowadzony do rozpaczy duchową pustką życia w zindustrializowanym społeczeństwie, pozostawia za sobą wszystko — pracę w fabryce, dom, żonę i dzieci. Powoduje nim wiara, że w wędrówce po kraju i świecie znajdzie to, czego nie mógł znaleźć w rodzinnym mieście, przy warsztacie pracy, wśród najbliższych mu ludzi. Doświadcza kolejnych rozczarowań. Spotkania z ludźmi różnych zawodów, chwilowe związki z kobietami, sytuacje w jakich się znajduje nie są w stanie wypełnić pustki jego życia. Rozstajemy się z nim w Tangerze w chwili, kiedy podejmuje się dostarczyć broń dla partyzantów algierskich i uczestniczyć w ich walce. Śmierć Williama Postersa jest pierwszą częścią trylogii, w której Sollitoe kreśli panoramę społeczeństwa angielskiego w odniesieniu do spraw nurtujących świat współczesny. Próbuje także przedstawić proces rodzącej się świadomości. Sugeruje, że zrozumienie pewnych problemów doprowadzić musi do buntu, za który bohater zapłaci cenę najwyższą.

A.G.

Alan Sillitoe, „Śmierć Williama Postersa", Książka i Wiedza, 1969 r.

I właśnie wtedy narodził się pomysł tego reportażu. Dowiem się — postanowiłem — kim był ten człowiek, i czy będzie żył. Z rozmowy między milicjantami wywnioskowałem, że będą później w szpitalu — pojadę z nimi.

— Reportaż dla prasy? — waha się chwilę sierżant, dowódca radiowozu — Zgoda — decyduje. — Najważniejsze jest, żeby pan o tym napisał. Ostrzegł. Ciągle za mało pisze się na ten temat...

Ruszamy. Jest godzina 23,02.

5.

— Halo, baza! halo, baza! — wywołuje dyżurnego w komendzie drugi z sierżantów, „radiowiec". — Obudźcie rzeczoznawcę, obudźcie rzeczoznawcę! Autobus zaraz u was będzie. Jedziemy do szpitala pobrać od rannego krew. Odbiór.

Radiotelefon skrzeczy coś w odpowiedzi — zrozumieli.

Rozmawiamy o wypadku. Milicjanci są raczej przekonani o winie poszkodowanego. Ekspert z komendy określi dokładnie szybkość autobusu, zanalizuje zdjęcia i pomiary — wtedy wiadomo będzie na pewno. Ale przedwczoraj mieli podobny wypadek — opowiadają — samochód potrącił jakiegoś pijaka, kierowca zemdlał z wrażenia, bo myślał, że go zabił, tyle krwi było — a ten drań tylko nos sobie rozbił i zasnął w najlepsze na jezdni.

— P 65-14! P 65-14! — znowu odzywa się baza. — Na ulicy Kniaziewicza „Syrena" nr rejestracyjny... potrąciła taksówkę nr. boczny... Rozkazuję jechać tam natychmiast...

— Zrozumiałem — odpowiada dowódca radiowozu. — Odbiór...

Gazik zakręca prawie w miejscu.

6.

Niedoświadczony kierowca „Syreny", student, wyprzedzał taksówkę tuż przed skrzyżowaniem; kiedy skręciła — jechał zbyt szybko, wgniótł jej drzwiczki i potłukł reflektory. Sprawa bezsporna, będzie musiał zapłacić za naprawę i oczywiście mandat. Tylko mamusia kierowcy nie jest przekonana — i nie przekonają jej ani precyzyjne wykresy, pomiary śladów, ani przepisy ruchu drogowego. Synek jest na pewno niewinny. Mijają kwadranse, milicjanci już z nią nie dyskutują (mają zresztą mnóstwo bezsensownej, biurokratycznej pisaniny — kiedy pytam o to, sierżant z rezygnacją macha ręką); wreszcie uciekają prawie przed jej natrętną, terkotliwą gadatliwością.

Gazik nagłym zrywem wypryskuje do przodu.

— Ech, wy... Tam może nieboszczyka zastaniemy, a wy się bawicie z paniusią w uprzejmości — krzywi się niechętnie kierowca i dociska pedał gazu. Jest godzina 0.30.

7.

Ten człowiek nazywa się Jerzy Piotr M., cieśla z zawodu, ma 32 lata. Żonaty, czworo dzieci: najmłodsze dwa lata — córeczka, najstarsze osiem lat. Dowiadujemy się o tym w izbie przyjęć Szpitala im. Pirogowa. Oglądamy dowód osobisty: młody, przystojny człowiek o sympatycznych rysach.

W izbie przyjęć jest cicho, trochę senie. Wiem jednak, że wtedy drzemiący przy windzie sanitariusz błyskawicznie podbiegł do noszy, że zasypiająca nad podręcznikiem chemii siostra natychmiast przygotowała potrzebne narzędzia, że w sali operacyjnej rozdzwonił się na alarm telefon. Decydowały ułamki sekundy, więc w ułamkach sekundy wykonali swoje zadania, a ruchy ich były szybkie, zgrane i precyzyjne. Wiem, że lekarz dyżurny dlatego ma takie zmęczone spojrzenie, bo otarł się o śmierć człowieka i — podjął z nią walkę.

— Co mu jest? Będzie żył? — pyta sierżant; w jego głosie dźwięczy szczera troska.

— Był w agonii — odpowiada lekarz. — Nie wiem. Doktor z pogotowia siedział tu ze mną przez godzinę, zrobiliśmy co było można. Ale nie wiem... Wstrząs mózgu, zmiażdżona klatka piersiowa, złamana ręka... Nie można go ruszać... Na razie śpi...

Patrzą sobie w oczy: człowiek w mundurze i człowiek w białym kitlu.

8.

Milicjanci znają doskonale drogę na salę, pamiętają imiona sióstr i sanitariuszek. Ich także wszyscy tu znają.

— Od początku roku byłem tu coś dziewięć razy — wyjaśnia „radiowiec".

Kiedy wychodzimy ze szpitala jest już pół do drugiej. Krew pobiera się choremu komisyjnie, do specjalnej fiolki. Więc znowu mnóstwo formularzy i protokołów, dziesiątki podpisów i pieczątek. To musiało potrwać.

Teraz musimy się już rozstać. Radiowóz łódzkiej Komendy Ruchu Drogowego wraca do bazy, czekają tam do tej pory świadkowie i kierowca. Trzeba będzie spisywać protokóły przesłuchań — zwykła, papierkowa robota, mówią milicjanci, dla mnie nic ciekawego. W mieście będzie już teraz spokojniej — do rana.

Mam zadzwonić do nich jeszcze o ósmej, dowiedzieć się o wyniku dochodzenia i jak upłynęła im reszta nocy. Żegnamy się w tym samym miejscu, z którego zabrali mnie cztery godziny temu. Jest okładnie godzina 2,00.

9.

Ten człowiek nazywał się Jerzy Piotr M., był żonaty, czworo dzieci w wieku od dwu do ośmiu lat. Umarł o trzeciej nad ranem.

Jerzy Piotr M. był jednym z owych 34 ludzi, którzy zginęli na drogach Polski w jednym tylko tygodniu maja — zanim rozpoczął się w pełni sezon weekendów. Los sprawił, że byłem świadkiem wypadku, w którym poniósł śmierć — opowiadam tę historię, bo może będzie dla kogoś ostrzeżeniem.

— Umarł o trzeciej — powiedział lekarz dyżurny, przez telefon jego głos brzmiał bardzo chrapliwie. — Wylew krwi do mózgu... Nie mogliśmy mu pomóc...

Dzwoniłem do szpitala, bo znajomych milicjantów w komendzie już nie zastałem. Nie, nie wyszli do domów. Wyjechali do wypadku: na szosie warszawskiej ciężarówka przewożąca robotników zderzyła się z samochodem marki „Żuk"...

Nie podaję nazwisk ludzi, których spotykałem tej nocy — w mundurach i białych kitlach, którzy czuwają, aby człowiek nie umierał samotnie pośród obojętnych murów miasta. Pamiętajmy jednak o nich — nie tylko wtedy, gdy potrzebujemy ich pomocy. Oby zawsze ich praca uwieńczona była sukcesem.

POLONICA

WIETNAMSKIE WIERSZE LEWINA

Radziecki miesięcznik „Inostrannaja Litieratura" w czerwcowym numerze tego czasopisma przynosi utwory Leopolda Lewina, znanego polskiego poety i tłumacza, autora tomów „Wyrąb lasu" oraz „Sny o powrocie". Radziecki czytelnik poznaje za pośrednictwem „I. L." w autoryzowanym przekładzie E. Dołmatowskiego wietnamski cykl wierszy Leopolda Lewina: „Wietnamce" oraz „Alarm w Hanoi". Jednocześnie w stałym dziale „Autorzy tego numeru" pomieszczono zwięzłą notę biograficzną, w której przedstawiono twórczy dorobek polskiego poety.

MIĘDZYNARODOWA NAGRODA WARNEŃSKIEJ

Monika Warneńska, autorka popularnej powieści „Chłopcy z miasta Łodzi" oraz licznych reportaży o Wietnamie, otrzymała ostatnio, jednogłośną decyzją komitetu wykonawczego Międzynarodowej Organizacji Dziennikarzy, nagrodę „Grand Prix" za publicystyczne wystąpienia w obronie narodu wietnamskiego. Z tej okazji tygodnik „Litieraturnaja Gazieta" zamieszcza zdjęcie polskiej pisarki wraz z serdecznymi gratulacjami od zespołu redakcyjnego tego czasopisma i życzeniami dalszych, twórczych sukcesów.

WIELKA NAGRODA SZTUK PIĘKNYCH M. PARYŻA

W tym roku Wielką Nagrodę Sztuk Pięknych m. Paryża otrzymała Zdenka Dathil. Nagroda wynosi 10 tysięcy franków. Laureatka jest Czeszką zamieszkałą we Francji. Nagrodę otrzymała za rysunek piórkiem pt. „Nieznanemu miastu" i za gwasz zatytułowany „Kraków".

K. F.

POLONICA

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

W RYTMIE BALLADY

Istnieje literatura fikcji i inna literatura, która ożywia wspomnienia autora, rekonstruuje środowisko, w którym żył i działał, a które już odeszło. Do takiego właśnie gatunku wspomnieniowego zalicza się „Ballada o tamtych dniach" Stefanii Grodzieńskiej i Jerzego Jurandota.

Nikłą stosunkowo fabułę oparli autorzy o autentyczne przeżycia pracowników Polskiego Radia w wyzwolonym Lublinie w roku 1944 i w początkach 1945.

Inne to było radio od tego, które znamy dzisiaj. Warunki pracy i poziom techniczny jego opisuje S. Grodzieńska w programie do przedstawienia. Opisuje szczegółowo, bo znała je dobrze jako pierwsza spikerka radia w Polsce Ludowej. Prymityw i przestarzałość sprzętu studyjnego i nadawczego nie pozostawała w żadnym stosunku do współczesnej techniki radiowej, dysponującej precyzyjną aparaturą magnetofonową, elektronicznymi pulpitami sterowniczymi, studiami pogłosowymi, czułymi mikrofonami. Wówczas sprzęt ograniczał się do jednego starożytnego mikrofonu na nierównych nogach i do gramofonu, z którego puszczało się raz po raz te same zdarte płyty.

Takie były początki ludowego Polskiego Radia. A przecież słowa i dźwięki przekazywane przez te urządzenia miały dla ludzi wartość bezcenną. Po latach, w których jedynym kontaktem z radiem były megafony uliczne szczekające komunikatami „aus dem Fuehrer-Hauptquartier", zachłystujące się zwycięstwami hitlerowskich dywizji przy dźwiękach buńczucznych marszy wojskowych — słowo polskie z głośnika (polskie w sensie ducha, bo i Niemcy nadawali swoje audycje po polsku) wyciskało z najodporniejszych nawet oczu łzy.

Pierwociny Polskiego Radia odpowiadały zresztą trudnym narodzinom nowej państwowości polskiej, które J. Jurandot określa jako kształtowanie się nowoczesnego państwa w pigułce. Pionierskie czasy zawsze niosą w sobie duży ładunek patosu i wzruszenia. Coś z tych uczuć starali się utrwalić autorzy „Ballady o tamtych dniach".

Główny jednak akcent fabularny położyli na sprawy związane z radiową skrzynką poszukiwania rodzin. Zapoczątkowana wówczas w Lublinie i docierająca do słuchaczy na niewielkim obszarze, limitowanym mocą pierwszej stacji nadawczej zwanej pieszczotliwie „Pszczółką", rozrosła się następnie i przez długie jeszcze lata pośredniczyła w odnajdowaniu się osób sobie bliskich, była jednocześnie smutnym wyrazem ludzkiego bólu i ludzkich nadziei, które w wielu wypadkach nie miały się spełnić nigdy.

Jest w sztuce Grodzieńskiej i Jurandota szereg takich wzruszających momentów, jak wątek matki — Kowalskiej lub księdza vel Jakuba Goldbauma wzywającego swą rodzinę wbrew wszelkiej nadziei. Zabawna w pewnych konsekwencjach sprawa poszukiwania narzeczonego przez spikerkę Krystynę mniej się może podobać. Jest coś niewłaściwego w wykorzystaniu przez autorów tragicznej w swym charakterze sprawy poszukiwania rodzin do komediowego qui pro quo rodem z komedii bulwarowej.

Inny zarzut, jaki można by postawić małżeńskiej spółce autorskiej, dotyczy próby powiedzenia poprzez sztukę wszystkiego co dotyczy „tamtych dni". Nie przyczynia się to do utrzymania dyscypliny dramaturgicznej, grawituje momentami niebezpiecznie w stronę sloganu. Autorzy znajdują jednak zręczne wyjście z sytuacji, operując black-outem i songiem jako przerywnikiem.

Ta muzyczna oprawa determinuje balladowy charakter sztuki i rozgrzesza pewne mielizny dialogu i fabuły. Powoduje, że sztukę ogląda się dobrze, a luki jej wypełnia każdy widz osobistymi skojarzeniami (starsi odnoszą ją do własnych wspomnień, młodsi do wiedzy zobytej przez wysłuchiwanie opowiadań, lekturę, film).

Przedstawienie w Teatrze im. Stefana Jaracza, które wyprzedziło oficjalną prapremierę w Lublinie, wyreżyserowane zostało przez Feliksa Żukowskiego sprawnie i potoczyście. Do uroku tego spektaklu przyczyniła się walnie wpadająca w ucho muzyka Jerzego Wasowskiego w świetnej aranżacji Piotra Hertla. Odnoszę tylko wrażenie, że ilość śpiewnych przerywników w wykonaniu trzech „chłopców w mundurach" jest chyba za duża. Zwłaszcza w drugiej części przedstawienia to zagęszczenie bardzo pięknych zresztą songów nadmiernie rozczłonkowuje bieg fabuły.

Aktorzy zagrali „Balladę" demonstrując szczere przeżycie, co znacznie podniosło temperaturę spektaklu. Dotyczy to przede wszystkim piątki „radiowców". Ewa Mirowska (Krystyna), Grażyna Marzec (Helenka), Bogumił Antczak (Jacek), Jerzy Braszka — student PWSTiF (Kuba) i Jan Tesarz (Zygmunt) ukazali zróżnicowaną wewnętrznie, a jednocześnie spoistą małą społeczność. Z grupy tej szczególnie Mirowska i Antczak potrafili wzbogacić interpretowane postaci o własny podtekst.

Z epizodów na podkreślenie zasłużyli sobie: Feliks Żukowski (Minister; rolę tę gra na zmianę z Kazimierzem Talarczykiem, którego nie oglądałem), Leokadia Pilarska (Matka), Barbara Jaklicz (Kowalska), Bożena Darłakówna (Kurierka), Józef Zbiróg (Podchorąży-lekarz) i Zdzisław Jóźwiak (Ksiądz).

Projektantem funkcjonalnej dekoracji jest Mieczysław Wiśniewski.

Stefania Grodzieńska i Jerzy Jurandot „Ballada o tamtych dniach", muzyka — Jerzy Wasowski, reżyseria — Feliks Żukowski, scenografia — Mieczysław Wiśniewski, przygotowanie i opracowanie muzyczne — Piotr Hertel, asystent reżysera — Jan Kwapisz; Państwowy Teatr im. Stefana Jaracza w Łodzi, premiera 3 lipca 1969 r.

spektakle tygodnia

	Liczba spektakli	widzów	proc.
TEATR NOWY			
„Szkoła kobiet"	2	800	55
„Dziś do Ciebie przyjść nie mogę"	1	700	100
MAŁA SALA			
„Księżyc świeci nieszczęśliwym"	1	350	80
POWSZECHNY			
„Radziwiłł, Panie Kochanku"	2	837	68
„Kawior i kaszanka"	2	778	60
„Czarna komedia"	1	356	50
im. JARACZA (w teatrze Rozmaitości)			
„Ballada o tamtych dniach" 7,15	4	2240	85
„Jadzia wdowa"	5	2110	100

TP OBIEKTYW

TEMAT: ŁÓDŹ

Poniedziałek 7 lipca można by nazwać „łódzkim dniem" w telewizji. Spotkał nas nieprzypadkowy chyba zaszczyt otwarcia VI Telewizyjnego Festiwalu Teatrów Dramatycznych „Re wizorem" Gogola w wykonaniu zespołu Teatru Nowego i w reżyserii Witolda Zatorskiego.

Do spraw VI TFTD pozwolę sobie jeszcze wrócić, a dziś chciałem zająć się drugim łódzkim programem nadanym w tymże dniu, Łódzkim, choć przygotowanym przez redakcję warszawską. Mam na myśli „Panoramę Literacką" prowadzoną przez Romana Samsela. Nazwa kolejnego odcinka „Panoramy" brzmiała: „Łódź jako temat literacki".

Do udziału w programie Samsel zaprosił dwóch rozmówców mieszkających aktualnie w Łodzi i dwóch ex-łodzian, bardzo jednak z naszym miastem związanych. Dwaj pierwsi to docent doktor Bolesław W. Lewicki, rektor PWSTiF i znany teoretyk filmu, oraz literat Jan Koprowski, redaktor naczelny „Odgłosów". „Emigranci" — to profesor UW dr Jan Zygmunt Jakubowski, redaktor naczelny czasopisma „Poezja" i nie wymagający bliższych omówień znany poeta i pisarz Marian Piechal.

Wielokrotnie mówi się, że łodzianie to ludzie z kompleksem na punkcie swojego miasta. Kompleks ten nie objawia się jednakowo. Są tacy, którzy odczuwają jakiś fałszywy wstyd, czy kompleks niższości w stosunku do innych wielkich miast w Polsce. Tacy, gdy zdarzy im się przenieść z Łodzi do innego miasta, szybko przestają się do niej przyznawać.

Inni znowu na odwrót. Kochają „urodę złą" Łodzi wręcz fanatycznie, jakby chcieli zrównoważyć mankamenty swego miasta gorącym uczuciem. Ci, choćby im przyszło opuścić Łódź, pozostają jej wierni. Postawę taką zaprezentował z pewnością w omawianym programie Marian Piechal.

Cokolwiek by się powiedziało, istnieje w Łodzi szczególny genius loci, specyficzny i niepowtarzalny duch tego właśnie miejsca, który powoduje, że miasto nasze stanowiło i stanowi dla wielu pisarzy inspirację i temat dla działalności twórczej. Nieefektowna na pozór, jest Łódź w strukturze swej zabudowy utrwaloną historią przemian zachodzących w Polsce w wieku XIX.

Lista poetów i prozaików piszących na temat Łodzi jest długa i znajdują się na niej nazwiska znakomite. Dłużniewski, Gliszczyński, Reymont, Bartkiewicz, Strug, Żeromski, Tuwim, L. Rudnicki — to niepełne z pewnością zestawienie jeśli chodzi o przeszłość. Lista współczesnych pisarzy obierających sobie nasze miasto jako temat, względnie przynajmniej jako tło dla swoich powieści, wierszy, innych form literackich jest znacznie dłuższa. Chyba część tylko nazwisk wymienił w omawianym programie Jan Koprowski.

Tenże uczestnik rozmowy zwrócił uwagę na fakt, że nie każdy literat zamieszkały w Łodzi wybiera sobie swoje miasto jako temat dla twórczości. Takie wymaganie pod adresem pisarzy byłoby z gruntu niesłuszne. Niemniej genius loci ma wpływ na wielu pisarzy i skłania ich do wprowadzania Łodzi na karty ich książek.

Pozostaje więc miłośnikom Łodzi innego rodzaju niedosyt nie związany z ilością książek traktujących o mieście. Oczekuje się mianowicie dzieł wybitnych i to w dwojakim znaczeniu. Przede wszystkim wybitnych w sensie literackim, artystycznym. Po drugie zaś takich, które dawałyby obraz Łodzi możliwie pełny, przystający do naszych wyobrażeń i doświadczeń.

Co do wartości literackiej książek o Łodzi powstających obecnie, to odpowiadają one aktualnemu poziomowi krajowego pisarstwa. Na dzieła wybitne czekamy w ogóle. Nie tylko w Łodzi. Natomiast zgodzimy się wszyscy, że literacki obraz naszego miasta jest z pewnością niepełny (co nie oznacza, że autorom książek o Łodzi odmawiamy rzetelności i talentu). Wciąż nie opisany jest przebiegający w Łodzi w specyficznych warunkach okres okupacji. Marzyłaby się także jakaś wielka saga rodziny włókniarskiej, literacki fryz wiodący od czasów burzliwej industrializacji i urbanizacji Łodzi w XIX wieku, aż po dzień dzisiejszy.

Dlatego może, wbrew dość optymistycznym stwierdzeniom rozmówców redaktora Samsela, głód książki o Łodzi to problem wciąż aktualny. Dobrze więc, że telewizja doceniła wagę tej sprawy.

W. O.

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Niebogata jest polska filmowa twórczość komediowa, więc choćby z tego tylko powodu należy przychylnie powitać najnowszą pozycję tego gatunku, „RZECZPOSPOLITA BABSKA" (scenariusz: Stanisława Drzewiecka i Hieronim Przybył, reżyseria: Hieronim Przybył, zdjęcia: Tadeusz Wieżan) opowiada o powojennych losach oddziału kobiet, które walczyły w czasie wojny i przeszły szlak bojowy z I Armią Wojska Polskiego. Wszystkie są samotne, straciły rodziny podczas wojny, postanawiają więc resztę życia spędzić razem, osiedlają się na Ziemiach Odzyskanych, w zaniedbanym, opuszczonym gospodarstwie. Złożywszy przedtem ślub, że na mężczyzn nie będą zwracały uwagi przynajmniej przez pół roku. Źródłem inspiracji dla autorów scenariusza była zapewne wieś „Platerówka" założona w 1945 roku w woj. wrocławskim przez kobiety z batalionu im. Emilii Plater, który istniał przy I Dywizji im. Tadeusza Kościuszki. Notabene współautorka scenariusza — Stanisława Drzewiecka jako żołnierz właśnie tego batalionu przeszła szlak bojowy od Sielc do Berlina.

Niepotrzebnie chyba reżyser zastrzega się przed wszelkimi analogiami losów jego bohaterek z założycielkami „Platerówki". Choć nie znam ich losów, nie sądzę, by po obejrzeniu filmu takie analogie mogły się nasunąć. Choćby dlatego, że film jest komedią, a życie wówczas wcale nie było wesołe. Tak niewesołe, że słusznie reżyser uważał, że temat jest zbyt dramatyczny, by potraktować go poważnie. Trudno też dopatrzeć się w filmie — sugerowanego przez reżysera — pokrewieństwa ze „Ślubami panieńskimi" Fredry. I czasy nie te, i sceneria inna, i mentalność dziewcząt, które przeszły najtwardszą szkołę życia, nie ma żadnych punktów stycznych z mentalnością fredrowskich panienek. No i te współczesne od początku nie traktują swego ślubu poważnie.

Film jest zręcznie zrobioną komedią, zabawną dzięki humorowi sytuacyjnemu, licznym gagom i dobrym, dowcipnym dialogom. A także dzięki trafnie dobranej obsadzie aktorskiej. Bo przecież wystarczającym powodem dla rozśmieszenia naszej publiczności jest pojawienie się na ekranie Romana Kłosowskiego, Włodzimierza Skoczylasa, bliźniaczo podobnych braci Damięckich, Jerzego Turka czy innych. Vis comica aktorów pokrywa często niedostatki charakterystyki postaci. Słabą stroną filmu jest bowiem brak rysunku psychologicznego bohaterów, nadania im cech indywidualnych, określonych charakterów. Grupa dziewcząt jest bardzo sympatyczna, ale stanowi jednolitą masę, wyróżniają je tylko cechy zewnętrzne. To samo zresztą dotyczy „antagonistycznej" grupy mężczyzn, także zdemobilizowanych żołnierzy, którzy osiedlili się po drugiej stronie rzeki. Szkoda też, że nie udało się scenarzystom wykroić innego, mniej ckliwie-banalnego zakończenia.

Sympatyczne, choć także pozbawione cech indywidualnych postacie głównych bohaterów odtworzyli Aleksandra Zawieruszanka i Jan Machulski, w grupie dziewcząt wyróżniają się: Zofia Merle, Teresa Lipowska, Krystyna Sienkiewicz, Irena Karel i Wiesława Kwaśniewska.

Mimo pewnych braków otrzymaliśmy jednak film zabawny i sympatyczny, który z pewnością będzie cieszył się powodzeniem.

Po dwudziestu dwóch latach od chwili realizacji i po dziewiętnastu latach od polskiej prapremiery, powraca znów na nasze ekrany film produkcji francusko-włoskiej w reżyserii Christian-Jaque'a ze zdjęciami Nicolas Hayera — „PUSTELNIA PARMEŃSKA" według powieści Stendhala. Po tak długim okresie czasu słuszne mogą być obawy czy film się nie zestarzał, czy przy obecnym rozwoju techniki filmowej nie będzie nas raził przestarzałymi środkami wyrazu, czy choćby brakami natury technicznej. Obawy te są w stosunku do „Pustelni parmeńskiej" całkowicie płonne. Wznowienie tego dzieła jest w pełni uzasadnione jego walorami artystycznymi, które mimo ponad dwudziestu lat nie straciły nic na świeżości. Film się wcale nie zestarzał, ciągle jeszcze jest dziełem znakomitego mistrza, ciągle można podziwiać z rozmachem zrobione sceny zbiorowe, piękne plenery (które aż się proszą o panoramę), a także mistrzowsko poprowadzone sceny kameralne, subtelne, finezyjne sceny miłosne.

Ten film wywołał we Francji burzę protestów i burzę zachwytów. Przeciwnicy zarzucali realizatorom niemal dokonanie świętokradztwa na dziele Stendhala, z którego zrobiono romans przygodowy. Istotnie film jest romansem przygodowym, historią wielkiej miłości romantycznej i płomiennej zarazem, areną pojedynków i galopad — ale jak to jest zrobione! Do tego świetna, bezbłędna gra aktorów i niezapomniany Gerard Philipe. Tylko dla niego samego warto było film wznowić. Przecież w ciągu tych lat wyrosło nowe pokolenie kinomanów, którzy tego aktora nigdy nie widzieli. Dla nas, którzy go podziwialiśmy za życia, jest ten film wspomnieniem o zmarłym przedwcześnie jednym z największych współczesnych aktorów francuskich. On to, 25-letni wówczas młodzieniec u progu sławy i kariery aktorskiej, kreuje postać głównego bohatera Fabrycego Del Dongo. Ta kreacja młodziutkiego aktora, piękna kreacja wyraźnie zapowiada późniejszą jego, w pełni zasłużoną sławę. Gra aktorska jest zresztą jeszcze jedną mocną stroną filmu. Oszczędna, a jednak bardzo ekspresyjna jest gra aktorki hiszpańskiej — Marii Casares (księżna Gina Sanseverina), interesujące, pełne wyrazu postacie kreują: Renee Faure (Clelia Conti), Louis Salou (książę Ernast IV), Tullio Carminati (hr. Mosca) czy Louis Seigner (Grillo).

ZASTĘPCA

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

GRAFIK SAMOUK

Anatolij Cjupa ma 32 lata. Rysował od dziecka, a od kilku lat grafika była dla niego prawdziwym hobby. Pracował jako kontroler urządzeń automatycznych w jednej z moskiewskich fabryk, ale znaczną część wolnego czasu poświęcał pracy artystycznej. Wkrótce jego mieszkanie zamieniło się w pracownię twórcy. Mimo że Cjupa nie ma

„Akwarium"

żadnego wykształcenia artystycznego, osiągnął samodzielną pracą wysoki stopień technicznej sprawności i doszedł do prawdziwego mistrzostwa formy, zwłaszcza w linorycie. Tematyka jego grafik jest najprzeróżniejsza: miejskie ulice i place, mokry asfalt odbijający przedmioty jak lustro, przydrożne drzewa spoza których bieleją nowe bloki mieszkalne, las ze śpiewającymi ptakami, słońce przedzierające się przez listowie krzewów, kometa spadająca w rozgwieżdżoną noc, chłopiec rysujący gołębie itd. itd.

Grafikę Anatolija Cjupy cechuje prostota i klarowność kompozycji, a równocześnie niezwykłość i oryginalność ujęcia.

Pierwsza wystawa grafiki Cjupy odbyła się latem 1967 w redakcji czasopisma „Zwiedza" i przyniosła artyście-samoukowi duże uznanie. Potem Cjupa wystawiał w szeregu miast m. in. w Moskwie, gdzie w redakcji dwutygodnika „Smiena" odbyła się ekspozycja jego 40 dzieł graficznych. Wkrótce zaczął pracować dla różnych czasopism i telewizji. Obecnie zajmuje się wyłącznie pracą artystyczną.

ESEJ O ANDRE BRETONIE

„Moje poematy? Ależ one nie są nic warte, drogi przyjacielu! Nigdy nie napisałem żadnego wiersza, z którego byłbym zadowolony" — powiedział kiedyś Andre Breton do zachwyconego jego osobowością młodego człowieka, którym był Charles Duits. Ten ostatni, urodzony we Francji z ojca Holendra i matki Amerykanki, autor podobno interesującej powieści pt. „Zły mąż", poznał będąc siedemnastolet nim chłopcem Andre Bretona. Ostatnio Charles Duits napisał interesujący esej o Andre Bretonie. Pisze on m. in. o tym, że ów „papież surrealizmu", chociaż zawsze małomówny, wywierał swą indywidualnością niemal magiczny wpływ na ludzi.

FILM O BEETHOVENIE

Jedna z zachodnioniemieckich wytwórni filmowych przystąpiła w Malines w Belgii do nakręcania filmu o Beethovenie z okazji 200 rocznicy urodzin wielkiego kompozytora.

Dziadkowie Beethovena mieszkali w Malines w latach 1699 — 1739, później zaś przenieśli się do Bonn, gdzie następnie urodził się Ludwig van Beethoven (1770—1827). W Malines ulica Steenstraat została ostatnio przemianowana na Beethovenstraat. Dom, w którym mieszkali dziadkowie kompozytora został rozebrany w roku 1933 przy rozbudowie browaru.

STULECIE URODZIN MARTINA ANDERSENA-NEXO

Wybitny pisarz duński Martin Andersen-Nexo urodził się 2 czerwca 1869 roku jako syn robotnika. Początkowo jest pasterzem, następnie terminuje u szewca. Jako samouk zdobywa wiedzę i zostaje wiejskim nauczycielem. W latach 1923—1930 przebywa w Niemczech. Bierze następnie udział w wojnie domowej w Hiszpanii w szeregach republikańskich. Aresztowany przez faszys-

tów w roku 1941 ucieka w dwa lata później, udając się do Szwecji, a następnie do Związku Radzieckiego. Zmarł w wieku lat 85 dnia 1 czerwca 1954 r. w Dreźnie. Ostatnie lata swego życia spędził w Niemieckiej Republice Demokratycznej.

Martin Andersen-Nexo najwybitniejszy pisarz proletariacki Skandynawii, związany z KP Danii, uzyskał międzynarodową sławę arcydziełami, w których pisał o życiu i walce proletariatu. Do najznakomitszych dzieł należą: „Pelle zwycięzca", „Ditta" i „Czerwony Morten". Prochy pisarza przewiezione do Kopenhagi spoczywają niedaleko grobu jego wielkiego rodaka, bajkopisarza Hansa Christiana Andersena.

ZMARŁ WALTER GROPIUS

W wieku 86 lat zmarł w Bostonie wybitny niemiecki architekt, współtwórca funkcjonalizmu w architekturze, Walter Gropius, o którym pisaliśmy niedawno z okazji 50-lecia uruchomienia założonej przez niego uczelni „Bauhaus".

Walter Gropius urodził się w Berlinie. Po ukończeniu studiów architektury odbył szereg podróży naukowych po krajach Europy. Po powrocie zajmował się pracami architektonicznymi. On to jako pierwszy opracował program budowy domów z elementów prefabrykowanych. On też wprowadzał nowe formy zabudowy wielkomiejskiej — budowę wąskich pasów bloków mieszkalnych pośród pasów zieleni.

W roku 1918 Gropius kierował dwiema szkołami artystycznymi, które następnie połączyły się w instytut o nazwie „Staatliches Bauhaus", zwany w skrócie „Bauhaus". Uczelnia ta została zlikwidowana przez hitlerowców. Po dojściu Hitlera do władzy, Gropius wyjeżdża do Anglii, a następnie do USA, gdzie zajmuje się przez długie lata pracami architektonicznymi i działalnością pedagogiczną. Prace i poglądy Gropiusa wywarły znaczny wpływ na nowoczesne budownictwo.

ISADORA

„Isadora Duncan, naiwna helenistka lat 20-tych kapłanką naturalnych form choreografii, zwolenniczka stylu przypominającego tańce dionizyjskie i gimnastykę szwedzką, nigdy nie była dobrą tancerką" — ironizuje paryski tygodnik „l'Express", którego sądy, jakkolwiek wypowiadane apodyktycznie, nie zawsze bywają trafne.

Isadora Duncan, legendarna już niemal dzisiaj tancerka amerykańska, zdobyła światową sławę jako twórczyni nowoczesnego tańca opartego na wzorach tradycyjnych tańców starożytnej Grecji. To właśnie Isadora Duncan (1878—1927) wywarła wielki i ożywczy wpływ na rozwój choreografii w Europie i Ameryce Północnej, m. in. na słynny rosyjski zespół baletowy Diagilewa.

Przypomnijmy, że tancerka była przez jakiś czas żoną wybitnego radzieckiego poety Jesienina.

O życiu i działalności choreograficznej Duncan powstał film pt. „Isadora" w reżyserii Karela Reisza, w którym rolę słynnej tancerki zagrała Vanessa Redgrave, zdobywając na festiwalu w Cannes nagrodę za najlepszą kreację aktorską.

Vanessa Redgrave w roli Isadory Duncan

Od niedzieli do niedzieli

KOLOROWY PROBLEM W RAMKACH

CO TO JEST REPRODUKCJA? — OBRODZIŁY „SŁONECZNIKI" — PEJZAŻE I KWIATY — „GUERNICA" NAD ŁÓŻKIEM? — 140 TYS. ZŁOTYCH NA ŚCIANIE.

Wydawało mi się, że wiem co to jest reprodukcja. Ale życie nie jest takie proste. W encyklopedii przeczytałem pod tym hasłem, że „historia teorii reprodukcji sięga do fizjokratów" i że „w świetle nowoczesnej analizy przepływów międzygałęziowych dwudziałowy schemat stanowi szczególny przypadek wielodziałowych schematów reprodukcji". Nie bujam — tak było.

Lecz mnie nie o taką reprodukcję szło. Mnie chodziło po prostu o te reprodukcje, dzięki którym pewnego lata „Słoneczniki" Van Gogha obrodziły w co trzecim łódzkim mieszkaniu. W jakiś czas potem zawirowały na ścianach mieszkań błękitne „Tancerki" Degasa... A co się wiesza aktualnie?

Sześć tygodni trwał przy ul. Piotrkowskiej 11 kiermasz reprodukcji malarstwa. Było to zatrzęsienie pięknie oprawionych reprodukcji dzieł Matejki i Picassa, Poznańskiej i Utrilla, Chełmońskiego i Moneta, Wyczółkowskiego i Renoira, Strzemińskiego i Gauguina... Trudno zresztą wymieniać cały podręcznik historii sztuki.

Co się jednak wiesza aktualnie? Autorytatywnie odpowiada nam na to pytanie pan Adam Nonas z Domu Książki. „Największym powodzeniem cieszyły się — „Las sosnowy" Szyszkina, „Pole maków" Moneta, „Łodzie" Van Gogha, „Turystka" Renoira, „Magnolie wieczorem" Birnstegla, „Aleja brzozowa" Altenkircha..." A więc pejzaże i kwiaty. Chyba to zrozumiałe i dziwią mnie wybrzydzania wyrafinowanych koneserów, którzy twierdzą, że to tylko lepsza wersja oleodrukowych pejzażyków z Bałuckiego Rynku. Oczywiście, że lepsza wersja — ważne jednak, że lepsza o kilkadziesiąt klas, o całą epokę, o dziesięć stopni plastycznej kultury...

Nie bardzo wiem jak sobie koneserzy wyobrażają zawieszone „Guerniki" Picassa nad dziecięcym łóżeczkiem czy „Kompozycji" Strzemińskiego między kanapą a kredensem. Nie wymagajmy zbyt wiele i nie stawiajmy sprawy na głowie.

Równo dziesięć lat temu na łamach „Odgłosów" w felietonie „Uwaga, szmira" biadałem nad niekontrolowanym przez nikogo zalewem oleodrukowych widoczków sprzedawanych w prywatnych sklepikach. Felieton oczywiście nic nie pomógł — Wydział Kultury oświadczył, że prywatne sklepiki to gestia Wydziału Handlu, a ten z kolei oświadczył, że się na malarstwie nie zna i nie musi... Ale problem w ciągu tych lat zwietrzał i zwiądł. Sklepików ze szmirą plastyczną jest mniej — naprawdę ludzie przestali masowo kupować pejzażyki z myśliwym, psem i chatką leśniczego.

Dziesięć lat temu nie było takiego jak dziś wyboru dobrej reprodukcji dobrego malarstwa. Dziś jest wybór i ludzie zamiast „Maków" pacykarza kupują „Maki" Moneta, zamiast „Brzózek" pacykarza, „Aleję brzozową" Altenkircha... I myślę, że tak jest dobrze i wcale nie uważam, że ozdobą mieszkania musi być od razu abstrakcja niegeometryczna. Nawet dobra i dobrego malarza — jeśli będzie zawieszona razem ze ślubnym zdjęciem i fotografią cioci Agaty z Ciechocinka — zabrzmi fałszywie i głupio.

Więc nie przesadzajmy z tym plastycznym wychowaniem społeczeństwa i nie uczmy nikogo na siłę plastycznej wrażliwości. Pewien warszawski felietonista narzekał, że robi mu się niedobrze na widok „Słoneczników" Van Gogha, bo spotyka je w co drugim znajomym mieszkaniu.

Nie jestem aż tak skłonny do mdłości — myślę natomiast, że znajomi felietoniści mają po prostu dobry gust. Oczywiście ceną jaką płacimy za kulturę masową jest pewne opatrzenie się, ale jest to cena bardzo niska w stosunku do tego, co osiągamy w podnoszeniu na wyższy szczebel ogólnej kultury społeczeństwa. W tym konkretnym wypadku osiągamy coraz bardziej zdecydowaną eliminację szmiry plastycznej z naszych mieszkań.

Wydział Handlu, którego nie interesuje malarstwo, nie wie, rzecz prosta, o ile w ciągu tych dziesięciu lat zmniejszył się popyt na bohomazy w prywatnych sklepikach. Ale Dom Książki, który — choć jest również przedsiębiorstwem handlowym — ma ogromny udział w upowszechnianiu plastyki wie, że na samym tylko kiermaszu reprodukcji łodzianie wydali na kopie dobrego malarstwa blisko 140 tysięcy złotych.

Z absolutną pewnością można stwierdzić, że jest to strumień forsy, który nie wpłynął do sklepików z plastyczną tandetą, a który kiedyś tam znajdował swe ujście.

Nie pomógł mój felieton sprzed 10 lat, w którym wołałem o kontrolę i ograniczenia. I dziś wiem, że nie ograniczenia, kontrole i zakazy są potrzebne. O wiele korzystniejsze efekty można uzyskać, jeśli zamiast zakazów zaproponuje się ludziom coś lepszego.

JERZY WIDOK

Bez strachu

POTRZEBUJĄCY POMOCY

Odwiedził mnie człowiek potrzebujący pomocy. Posadziłem go na fotelu dostrzegając mimochodem, że koszula jego, pozbawiona guzików rozchyla się stanowczo ponad miarę ukazując owłosione piersi. Założył nogę na nogę — demonstrując czarne kamasze, wiązane brązowymi sznurowadłami... Mówił, że potrzebuje pomocy w duchowym, psychicznym sensie... Oto wymarła jego rodzina — został sam w mieszkaniu, nawiedzają go złe myśli i złe sny, także sny o złych myślach i myśli o złych snach. Praca nie daje mu satysfakcji, jest jej za dużo, albo za mało, nie daje mu także satysfakcji wypoczynek. W kwestii wypoczynku nie zawierzył instynktowi — zasypianie i budzenie się jest u niego czynnością refleksyjną, każdą z nich poprzedza długi monolog wewnętrzny. Nigdy nie jest pewien czy spał za długo, czy za krótko. Gani się za lenistwo, bądź za nadmierne trwonienie sił. Ponadto nie potrafi dostosować odzienia do temperatury powietrza, chadza w lodowatym wietrze odziany w cienkie spodenki i koszulę bez rękawów, w upalne dni odziewa się w liczne wełny — tak że pot spływa z niego jak woda z kranu. Wzbudza tym powszechną litość — mówią mu, że jest słaby i chory, on tymczasem jest silny i zdrów, tylko zbyt ciepło odziany. Nikt nie wierzy w jego wyjaśnienia — wiodą go do lekarza pełni zadowolenia z własnej dobroci, oraz z porównania własnego krzepkiego zdrowia z jego ciężką chorobą. Staje przed lekarzem i nie wie co powiedzieć — lekarz także nie wie co powiedzieć i kieruje go do kilku specjalistów. Przeprowadzają mu liczne analizy, z których nic jednoznacznego nie wynika, należy zatem po tygodniu przeprowadzić je ponownie. Poznaje osobliwości każdej z podejrzanych u niego chorób, metody ich wykrywania i leczenia. W nocy śni o gruźlicy, zawale serca, złośliwych nowotworach, o licznych chorobach umysłu i strefy uczuciowej, okryty zbyt strasznie poci się, lub drży z zimna w łóżku. Jeżeli biega i skacze to nie dlatego, że ma na to ochotę, lecz dlatego, że tak nakazuje higiena. Wydaje mu się, że życie jego zanika i zostaje zastąpione przez sprawny ruch automatycznie regulowanych cząsteczek. Występuje u niego intensywna skłonność upodobniania się. Kiedy przeczyta o Juliuszu Cezarze — staje się odważny i genialny, kiedy o Neronie — rozpustny i okrutny. Brak mu stałej i pewnej wiedzy o sobie, o innych, o przyrodzie, astronomii, socjologii, filozofii, egiptologii i cybernetyce... Tak mówił mi Potrzebujący Pomocy, oczywiście jest to jego spowiedź przedstawiona w zwartym streszczeniu. Koszula jego, pozbawiona guzików ciągle rozchylała się ponad miarę ukazując owłosione piersi, ustawicznie trzymał nogę założoną na nogę demonstrując czarne kamasze wiązane brązowymi sznurowadłami. Przemówiłem do Potrzebującego Pomocy: Niech pan uda się do domu, poszuka igły i nitki i przyszyje sobie guziki do koszuli, niech pan postara się o czarne sznurowadła do czarnych kamaszy — to wszystko czego panu trzeba — świat jest bardzo prosty.

BERNARD SZTAJNERT

LIBBY MACCALL

RECEPTA na zabójstwo

Kilkanaście minut przed godziną dziewiątą pan Nicholas Notopolis, właściciel lokalu, który był jednocześnie apteką-barem-księgarnią zaczął przygotowywać się do otwarcia sklepu w osiedlu Briarcliff Gardens. Pogwizdując cicho szukał w kieszeni klucza. Znalazłszy go otworzył drzwi, co mu nie przyszło łatwo, trzymał bowiem w prawej ręce stos blach wypełnionych tortami.

Znalazłszy się wreszcie w sklepie, Notopolis położył na ladzie swój pakunek. Odetchnął z ulgą i zabrał się do codziennej pracy. Uruchomił maszynkę do kawy, podzielił na kawałki jeden z tortów i rozłożył je pod szklanym kloszem. Inne torty schował pod ladą. Następnie włożył biały kitel i czekał. Zegar wybił godzinę 9.

Pięć po dziewiątej weszła pierwsza klientka, pani Pagano. Była to potężna, otyła kobieta, ubrana bez gustu w kwiecistą suknię. Zajęła miejsce przy ladzie, wciągnąwszy się z trudem na wysoki taboret.

Pan Notopolis postawił przed nią filiżankę i talerzyk. Po sklepie rozszedł się aromatyczny zapach świeżej kawy. Jak zwykle, pierwszą kawę dnia wypijała pani Pagano. Ona bowiem pierwsza odprowadzała swe dzieci do przedszkola kierowanego przez administrację osiedla Briarcliff. Także inne mamy, powierzywszy swe pociechy opiece przedszkolanek, kierowały się zwyle do apteki — baru na poranną godzinkę śniadania i ploteczek.

Sklep był ośrodkiem towarzyskiego życia wielkiego osiedla Briarcliff Gardens. Było logiczne, że jego właściciel musiał wiedzieć, którzy z mieszkańców osiedla chorują. Lecz lista chorych była tylko drobną częścią faktów znanych małemu, krępemu aptekarzowi. Niektórzy twierdzili, że mózg tego człowieka funkcjonuje jak maszyna wyposażona w kartotekę, z miejscem dla każdego mieszkańca osiedla.

— Pan Notopolis mógłby więcej powiedzieć, o każdym z nas, niż my sami wiemy — mówiły kobiety. Lecz plotkowały dalej siedząc przy ladzie i dostarczając aptekarzowi ostatnich nowości. Pani Pagano, stały gość baru, była jednym z głównych źródeł informacji.

— Tu jest cukier. — Notopolis przysunął cukierniczkę. — Może kawałek tortu?

— Niestety, to nie dla mnie. Lekarz gniewał się bardzo, gdy byłam u niego w zeszłym tygodniu. Przybyło mi w ciągu roku prawie dziesięć kilo. No cóż, wezmę kawałeczek, ale to już ostatni raz. A, dzień dobry, jak się pani miewa, panno Rivera?

Pan Notopolis wstał i z uprzejmym uśmiechem podał filiżankę młodej brunetce, która wpadłszy z impetem do sklepu, zajęła miejsce przy ladzie.

— Dziękuję bardzo. Jest pan naszym prawdziwym przyjacielem. Poproszę dwa kawałki tortu, mam dziś wielki apetyt.

Maria Rivera, osoba nieprzyjemnie chuda, w swym śnieżnobiałym uniformie pielęgniarki popijała gorącą kawę obserwując łakomie dwa kawałki tortu nakładane na talerzyk.

— O ja nieszczęśliwa, co pani robi, że jest pani taka szczupła! — jęknęła mama Pagano, patrząc z chciwością na dwa kawałki tortu.

— To są nocne dyżury, moja kochana. Jestem tak zmęczona, że ledwo żyję. Zjem ciastka i zaraz wsunę się do łóżka. Mam nadzieję, że dziś usnę. Wczoraj był taki hałas, że prawie nie zmrużyłam oczu. Taki to pożytek, gdy się mieszka blisko biura administracji. Nie wiem, kto narobił zamieszania.

— To ja i mój Mario — wyjaśniła pani Pagano. — Bardzo panią przepraszam. Zapomniałam, że pani śpi w dzień. Byliśmy wściekli na administratorkę i powiedzieliśmy jej kilka nieprzyjemnych słów — a ona nie pozostała nam dłużna.

— A co znów wykombinowała panna Carpenter?

— Przysłała nam do domu policjantów. Wyobraża sobie pani? Powiedziała, że mój mąż prowadzi dom gry! I tylko dlatego, że Mario co jakiś czas zaprasza przyjaciół na kieliszek i partyjkę pokera. Ale to nie wszystko. Panna Carpenter poskarżyła się agentom, że Mario jest członkiem mafii „Cosa Nostra". Czyż nie należało dać jej nauczkę?

— Jeszcze jak! Ta kobieta jest nieznośna. Kieruje osiedlem, jakby to był żeński pensjonat, a ona jego dyrektorką.

— Wykorzystuje sytuację, gdyż wie, że nie można jej zwolnić — orzekł pan Notopolis.

Osiedle Briarcliff Gardens zostało niegdyś założone przez pewnego filantropa oryginała z przeznaczeniem głównie dla urzędników. W pozostawionym przez fundatora testamencie panna Ethel Carpenter, córka starego służącego, została wyznaczona administratorem osiedla z prawem pozostawania na tym stanowisku przez czas nieograniczony. To właśnie ona wzywała lokatorów do swego biura, aby robić im wyrzuty z powodu popełnionych uchybień. To ona odmawiała jakiejś rodzinie zamiany mieszkania na większe, ponieważ uważała, że liczba członków rodziny jest za mała — i większe mieszkanie zostało przydzielone innym, którzy dopiero zaczęli się o nie starać. Wszyscy mieszkańcy osiedla narzekali, lecz niewielu wyprowadzało się gdzie indziej, ponieważ komorne było bardzo niskie.

— Panna Carpenter jest dzielna, zna się na rzeczy, nikt tego nie może negować — ale taka jest despotyczna, a przy tym trochę dziwaczka.

Potok wymowy panny Rivera przerwało nadejście młodej, eleganckiej kobiety. Oczy jej błyszczały z podniecenia.

— Pomyślcie tylko! — prawie krzyknęła już w drzwiach. — Nie możecie sobie nawet wyobrazić, co się stało. Panna Carpenter nie żyje!

Maria Rivera odstawiła kawę. Notopolis i Pagano wydali okrzyk zdumienia. Zadowolona z wywołanego efektu, Amy Wagner usiadła na taborecie, poprosiła o kawę i tort — i zabrała się do referowania szczegółów makabrycznej wiadomości.

— Steve Schmidlapp zaniósł jej poranną gazetę, jak to robił codziennie. Ponieważ panna Carpenter nie otwierała drzwi, pomyślał, że może coś się stało. Otworzył więc mieszkanie zapasowym kluczem. I znalazł ją tam! — Opowiadająca uczyniła dramatyczną pauzę. — Martwą w jej łóżku!

— Dziwne — wtrąciła pielęgniarka — nie wyglądała mi na osobę chorą na serce.

— Nie kupowała nigdy lekarstw — potwierdził Notopolis. — Sprzedawałem jej tylko pastę do zębów i kosmetyki. A poza tym była jeszcze młoda!

— Miała 35 lat.

— Była nawet młodsza. — Notopolis kiwał głową. — Trudno uwierzyć, że umarła. To straszne!

— Nie do wiary, to prawda. Ale dlaczego straszne? — Maria Rivera roześmiała się szyderczo. — Nie wierzę, aby znalazło się wiele osób w Briarcliff, które by tak myślały.

— Jak się pani o tym dowiedziała? — zapytał aptekarz panią Wagner. —

— Steve zapukał do naszych drzwi i wywołał Billa. Biedny Bill musiał pobiec w szlafroku. Jeszcze nie wstał. Bolała go głowa i chciał pozostać w łóżku dłużej niż zwykle. To nie łatwo być pomocnikiem panny Carpenter, zapewniam was. Doświadczał wszelkich najgorszych przykrości.

— Może teraz zrobią go administratorem? — zapytał aptekarz. — To dzielny i miły człowiek. Zupełnie co innego niż ta Carpenter!

Amy uśmiechnęła się zadowolona. — Być może, lecz to jeszcze przedwczesne. Zobaczymy, jak zadecyduje rada zarządzająca. I ja myślę, że Bill jest najodpowiedniejszym następcą. Po pięciu latach pracy zna się na wszystkim, co należy do tego stanowiska. Także Steve Schmidlapp posiada doświadczenie w tym kierunku. Jako nadzorca wykazał dużo zalet, lecz nie sądzę, aby mogli go mianować administratorem.

— Gdy Steve ochłonie z szoku, jakiego doznał po znalezieniu trupa — podjęła dalej pani Wagner — mogę się założyć, że będzie tym, który poczuje największą ulgę spośród nas wszystkich. Ethel Carpenter bardzo go maltretowała, takiego starego człowieka! Choćby ta pretensja — aby przynosił jej codziennie rano gazety! Steve ma już dość pracy jako nadzorca, nie mówiąc o tym, że musi się opiekować siostrą inwalidką. Strasznie się bał, że administratorka zwolni go z pracy, gdyby kiedykolwiek odważył się powiedzieć: nie!

O, Boże! Siostra Steve'a! Nie pomyślałam o Kirsten! — zawołała Maria Rivera. — Z jej sercem w takich warunkach niespodziewany szok może okazać się fatalny w skutkach. — Maria położyła pieniądze na ladzie i zeszła z taboretu.

— Muszę zobaczyć jak się czuje. Może potrzebny jej zastrzyk uspokajający. Zobaczymy się później, do widzenia!

— Maria bardzo lubi Kirsten Schmidlapp. Nie wyobrażam sobie, co by oboje bez niej zrobili. — zauważył aptekarz.

— Jakie to straszne, gdy człowiek jest skazany na przebywanie w fotelu na kółkach. — Pani Pagano westchnęła ze współczuciem. — Taka ładna kobieta, jak Kirsten! To szczęście, że ma Steve'a. Nie widziałam nigdy brata i siostry tak kochających się. Żyją zgodniej niż niejedno małżeństwo.

— O, na pewno — powiedziała Amy. — Niech pani mi nie mówi, że nie kłócicie się nigdy, pani i Mario. Co do mnie i Billa — często prowadzimy z sobą ożywione dyskusje.

— Także i my. Ale przyjemnie jest przepraszać się. — Pani Pagano zeszła z taboretu i zbliżyła się ku drzwiom kroKiem nosorożca. — A więc dobrze, jeżeli zrobią administratorem Billa, to może pani go przekona, aby dał nam większe mieszkanie, zgoda?

Po odejściu ostatniej osoby, Amy wzięła filiżankę, aby ją znów napełnić kawą. — Założę się, że śmierć tej Carpenter jest wielką ulgą także dla państwa Pagano. Traktowała ich zawsze bez ceremonii, nie chciała im dać wygodniejszego mieszkania. Co prawda, Pagano jest trochę nieokrzesany, ale na ogół to porządni ludzie. Druga osoba, która nie będzie płakać z powodu jej śmierci — to Maria Rivera. Ten ładny doktorek, za którym ona lata — wie pan o kim mówię — otóż ten doktor kręcił się ostatnio koło pięknej Carpenter. To jest taki typek, co lubi często zmieniać. Nic dziwnego zresztą, Maria jest czarna i koścista, a Ethel, choć zdaje się utleniona, na pewno posiadała dużo uroku jako kobieta.

— Ależ pani Wagner..., ta biedaczka przecież nie żyje! — zaprotestował aptekarz.

— No już dobrze, panie Notopolis, nie chciałam powiedzieć nic złego. Zmieńmy temat rozmowy, dobrze? Proszę pana, teraz, kiedy jesteśmy zupełnie sami, czy mógłby mi pan dać przepis tego pańskiego cudownego tortu z serem? Przyrzekam, że nie powiem nikomu.

Dalszy ciąg nastąpi

ZA TYDZIEŃ W „ODGŁOSACH":

- TRYPTYK GRUZIŃSKI
- SEZON PEŁEN MELANCHOLII, CZYLI DYSKUSJE O TEATRZE
- NAPAD
- 40 LAT Z PO — „LOTEM"
- BOGACTWO W DRODZE DO ŁODZI
- NOWELA KRYMINALNA

Lewym okiem

PANI ZOSIU, DWA SŁOWA!...

Przemysłem uspołecznionym zarządzają jak wiadomo różne szczeble władzy. Najmniejsze jednostki produkcyjne — zakłady — podlegają najczęściej kilkuzakładowemu przedsiębiorstwu, kilkadziesiąt przedsiębiorstw — zjednoczeniu, kilkanaście zjednoczeń — ministerstwu. Ogniw pośrednich bywa niekiedy więcej, a ich wzajemna pragmatyka komplikuje się coraz bardziej, w sposób prawie niemożliwy do wyjaśnienia osobom nie wtajemniczonym, nie mówiąc o cudzoziemcach. Myślę o różnego typu zrzeszeniach, przedsiębiorstwach i zjednoczeniach wiodących i patronackich, porozumieniach, komisjach, biurach i tym podobnych.

Styl i niedobre tradycje działania organów administracyjnych są takie, że niemal o wszystkim, co się dzieje w zakładzie, chce wiedzieć najwyższa władza — resort. I to wiedzieć wciąż, na bieżąco. Dlatego dziewięćdziesiąt procent czasu w ogniwach pośrednich pochłania referowanie spraw ogniwom wyższym, a tylko dziesięć procent — merytoryczne załatwianie spraw.

Dlatego muszą nieustannie krążyć po kraju dziesiątki tysięcy panów z teczkami, przeważnie ruchem koncentrycznym — do stolicy i z powrotem, dlatego też międzymiastowych rozmów telefonicznych jest tak potwornie dużo.

W wydziale zjednoczenia, który ma zreferować ministerstwu jakąś sprawę, nie objętą normalną sprawozdawczością, przez parę dni w ogóle nic robić nie można. Przez dwa telefony bez przerwy ktoś wrzeszczy, dobywając resztek sił w płucach. Strony nie słyszą. Po tamtej stronie nie ma kogoś właściwego, szukają go całe kwadranse, znajdują w miejscu, gdzie nie dysponuje swoją rodzoną szafą z aktami i nic nie umie powiedzieć. Nie pomogą soczyste przekleństwa, stanowiące połowę takiej rozmowy. Trzeba będzie za parę godzin dzwonić jeszcze raz, kratka w zestawieniu pusta, czeka na cyfrę i na komentarz.

Żeby nikt tu w Łodzi dla przyjemności nie rozmawiał z Ustrzykami Dolnymi, ustala się dla poszczególnych wydziałów limity rozmów międzymiastowych. Tyle i tyle złotych ma pan prawo, panie naczelniku, przegadać miesięcznie. Cóż, można próbować i takiego sposobu. Naczelnik sadza urzędniczkę, która notuje i oblicza każdą rozmowę prowadzoną przez wydział. Oprócz ewidencji, prowadzonej przez centralkę telefoniczną zjednoczenia, zaczyna działać trzy dzieści ewidencji we wszystkich wydziałach. Wydziały są sprytne: podkradają sobie rozmowy. Jeśli finansowy zamówił Racibórz, to inwestycje dopadają do słuchawki: jeszcze chwileczkę, pani Zosiu, dwa słowa... Dwa słowa inwestycji stają się oczywiście tysiącem słów, które obciążą limit finansowego. Awantura.

Gorzej jednak, kiedy wydziały są jeszcze sprytniejsze i nie pozwalają sobie podkradać rozmów. Wtedy finansowy zamawia Racibórz i inwestycje zamawiają Racibórz. Tego samego rozmówcę. Płacą podwójnie, dwukrotnie zawracają głowę centralom w różnych miastach, dwukrotnie obciążają linie. A w ostatnich dniach miesiąca i tak większość wydziałów wystąpi o dodatkowe limity, bo była dodatkowa akcja (zawsze jest!), dodatkowy sondaż (zawsze jest!) i tym podobnie. Znów będzie trochę pisania wniosków, będą konferencje, nagany i potrząsanie premią nad głowami skołowanych urzędników.

Tak czy owak — jeszcze jedna forma zapłaty za szturmowszczyznę, jeszcze jedna próba uporządkowania wielkich spraw maleńkimi działaniami. Rozdział miesięcznych limitów rozmów międzymiastowych na wydziały to maleńkie działanie. Nadmierna centralizacja decyzji, lęk bardzo wysokich ogniw administracyjnych przed zostawieniem poza kręgiem widzenia najbłahszych zjawisk w poszczególnych zakładach całego kraju — to bardzo duża sprawa. A my w środku.

CWIEK.

Redaguje zespół: Jan Koprowski (red. naczelny), Karol Badziak (dział terenowy), Halina Bekowa (redaktor techniczny), Konrad Frejdlich (dział publicystyki), Roman Łoboda poezja i proza), Andrzej Makowiecki (dział reportażu), Włodzimierz Stokowski (z-ca red.naczelnego), Jerzy Wilmański (dział kulturalny), Teresa Wojciechowska (sekretarz redakcji). Wydawca — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96, telefony: 244-79, 217-98 oraz 293-00 wewn. 29, 39, 40, 41 i 42. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6 zł, kwartalnie 18 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa" Łódź, ul. Żwirki 17. Zam. 1571. VII. B-12.